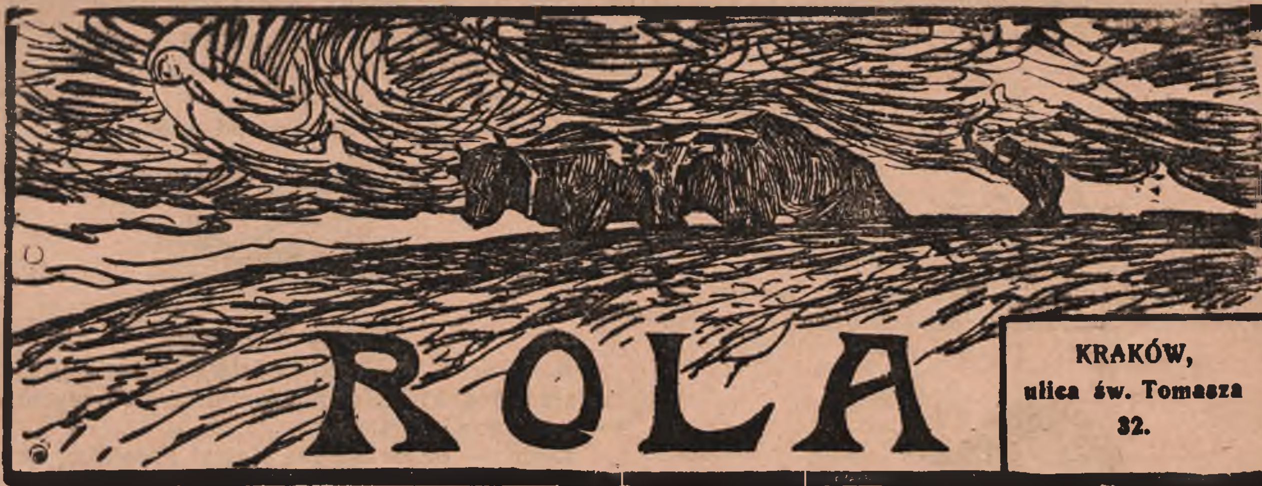
Numer 46. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 11 Listopada 1928



ROLA

KRAKÓW,
ulica św. Tomasza
32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

— Słuchajcie, słuchajcie, Litwini w swojej nowej konstytucji ogłosili stolicę Litwy... Wilno.

— Oni sprytni są...

— Ny?...

— Utrzymanie stolicy, to kosztowny interes jest. A tak to im stolicę muszą utrzymać Polaki.

— Nie gniewaj się drogi kolego, że ja ten list piszę w kamizelce, bo u nas w mieszkaniu dziś bardzo gorąco.



— Dokąd jedziesz chłopczyku?

— Do Stryja.

— Co, do Stryja? ależ ten pociąg jedzie do Lwowa!

— Ależ panie! ja właśnie jadę do Stryja!

— Hm hm.

— Panie konduktorze! ten chłopczyk jedzie mylnym pociągiem, bo ma bilet do Stryja.

Konduktor ogląda bilet, który jest w porządku i pyta: jedziesz naprawdę do Stryja?

— Tak panie konduktorze! Mój stryj mieszka właśnie we Lwowie!

Teorja względności.

Żona (do męża): — I nie wstyd ci, stary Don Juanie? Wczoraj widziałam cię na własne oczy pod rękę z jakąś obcą kobietą.

Mąż: — E tam! Znam ją od trzech lat.



Kobiece tajemnice.

Klarcia: — Kazia powiedziała mi, żeś jej zdradziła tajemnicę, którą ci powierzyłam pod warunkiem, że jej nie powiesz nic.

Zosia: — Szkaradna ta Kazia! Prosiłam, by ci nie mówiła, żem jej to powiedziała.

Klarcia: — To nic nie szkodzi! Powiedziałam jej, że ci nie zdradzę, że to wiem od niej, dlatego też nie mów, żem to uczyniła!



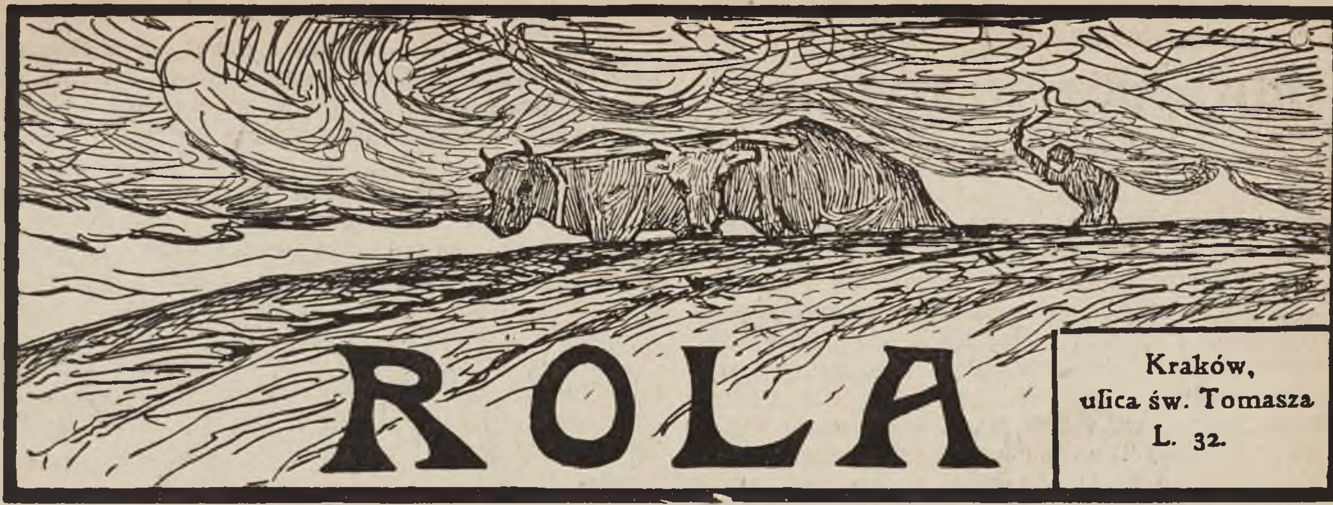
W aptece.

— Prosiłbym o jaki środek przeciw skutkom nauki.

— Zapewne przeciw zdenerwowaniu.

— Nie, panie, przeciw katarowi żołądka, bo moja żona teraz dopiero uczy się gotować.

Numer 46. **Rok XI.** **Kraków, dnia 11 Listopada 1928.**



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1928: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Wielkie Święto.

Wielkie święto święcimy w dniu 11 listopada 1928 r., bo dziesiątą rocznicę odzyskania naszej niepodległości. Wielu z nas pamięta dobrze, jak to było przed dziesięciu laty, ale szczególniej młode pokolenie, które wówczas dopiero zaczynało swój twardy żywot, zna dzieje tego wielkiego roku tylko z pobieżnych opowiadań. Dla przyjomnienia starszym, dla uświadomienia młodszych, skreślimy historję ostatnich dni, jakie poprzedziły wskrzeszenie Polski.

Szala wojny, która szalała już cztery lata, od połowy lipca 1918 r. zaczęła się przechylać na stronę koalicji. Odtąd Niemcy prawie codziennie ponosili klęski i cofali się na całej linji, zbliżając się do katastrofy, która już teraz była nieunikniona.

Dnia 4 października 1918 r. rządy Niemiec, Austrjo-Węgier i Turcji zwróciły się do prezydenta Stanów Zjednoczonych, Wilsona, z prośbą o zawieszenie broni. Państwa koalicji zgodziły się na to, ale pod warunkiem, że państwa centralne przyjmą warunki postawione przez Wilsona jeszcze 8 stycznia 1918 r. Pomiędzy tymi warunkami było również wskrzeszenie zjednoczonej i niepodległej Polski. Pokonane państwa centralne na żądanie zgodzić się musiały.

Rozpoczęły się rokowania pokojowe, które poprzedziło zawieszenie broni na frontach bojowych.

Ale w Polsce sytuacja była niewyjaśniona. W Warszawie pozorną władzę miała Rada regencyjna, lecz tam, jak i w Wielkopolsce gospodarowali Niemcy. W Małopolsce trzymali się jeszcze Austrjacy. Rada regencyjna próbuje ratować sytuację, ale była za słaba, więc nikt jej nie słuchał. W b. Kongresówce tylko bagnet niemiecki panuje jeszcze nad publicznym porządkiem. Gorzej jest w Małopolsce Wschodniej, gdzie dochodzi do rewolty ukraińskiej. W Lublinie powstaje samozwańczy rząd, tak zwany ludowy. Zdaje się, że Polska spłonie w ogniu walk bratobójczych. Wszyscy oczekują wyzwolenia, ale skąd ono przyjść miało, nikt nie wiedział.

Ale przyszło, kiedy w dniu 11 listopada wieczorem wysiadł z pociągu w szarym mundurze legjonowym skromny człowiek o wielkiej potędze ducha, przed którym wszyscy ukorzyć się musieli, komendant Józef Piłsudski, powracający z więzienia niemieckiego w Magdeburgu. Od tego dnia zaczyna się nowa epoka w dziejach Polski.

Wprawdzie w Małopolsce Zachodniej już w dniu 31 października zrzucono jarzmo austrjackie, wprawdzie dopiero w dniu 27 grudnia Wielkopolanie wyswobodzili się z pod przemocy pruskiej, ale dzień 11 listopada był dniem tym, w którym jako widoma głowa całego państwa wystąpił Józef Piłsudski.

Z objęciem jednak władzy przez niego nie skończyły się krwawe dni dla Polski. W Małopolsce Wschodniej hulali Ukraińcy, wschodnie granice naszej Ojczyzny najeżdżali bolszewicy, paląc i mordując, gdzie i co się dało. A Polska nie miała nic: ani pieniędzy, ani wojska, ani broni. Trzeba było wszystko stwarzać i to stwarzać z niczego.

Nie uląkł się tej pracy Józef Piłsudski, podjął ją, a podjął tem chętniej, że cały naród stanął przy jego boku, że cały naród udzielił mu swego poparcia. Bo garść niechętnych przycichła i czekała końca.

Usiłowania Piłsudskiego uwieńczył pomyślny wynik. A choć w ciągu tych lat dziesięciu przeżyliśmy niejedną ciężką chwilę, choć i w przyszłości jest jeszcze wiele do zrobienia, to przecież obecnie Polska stoji na silnych nogach, a z jej potęgą liczą się tak przyjaciele, jak i wrogowie nasi.

A byłoby jeszcze znacznie lepiej, gdybyśmy wszyscy pracowali dla dobra Ojczyzny, a zaniechali kłótni i waśni wzajemnych.

WALERY PRZYBOROWSKI.

Bitwa pod Raszynem.

Powieść historyczna.

V.

Przerażenie i rozpacz Janka, kiedy ujrzał swego dzielnego konika, padającego trupem ze znużenia i błyszczące szeregi huzarów, ukazujące się w alei była ogromna. I trzebaż jeszcze, że go to wszystko prawie tuż przy Nadarzynie, prawie u celu podróży, kiedy jeszcze dziesięć minut wysileń, a stanąłby przed księciem i ocalił go. Teraz wszystko napróżno. Za kilka chwil nieprzyjaciel stanie przy Janku, stanie w Nadarzynie nadewszystko i porwie księcia Józefa.

Na tę myśl wszystka krew uderzyła do głowy chłopca.

— Nie! — zawołał — trzeba jeszcze jedną zrobić próbę.

Spojrzał na huzarów — zatrzymali się i na obie strony drogi powysyłali oddziały, które rozwijając się szybko, widocznie zamierzały wieś dokoła otoczyć. Janek widział, jak wielkie ich i ciężkie konie grzęzły w rozmokłej przez całonocny deszcz ziemi, jak wskutek tego mogli tylko bardzo wolno i z wielkim trudem się posuwać. Nadewszystko ucieszyło go to, że główny oddział na gościńcu, wysadzonym topolami, stał nieruchomy.

Janek zostawiwszy drgające jeszcze w przedśmiertnych konwulsjach zwłoki kucyka, puścił się biegiem, co mu tylko sił starczyło, do wsi. Biegł wciąż wielką, szeroką drogą, wysadzoną smukłemi topolami i wierzbami i co chwila oglądał się poza siebie, czy czasem nieprzyjaciel go nie goni. Ale huzarzy stali spokojni, nieruchomi, a słońce przeglądało się w złotych blachach ich kołpaków, w błyszczących pochwach ich szabel — boczne zaś oddziały posuwały się powoli dokoła wsi. We wsi zaś samej, do której Janek dostał się już nakoniec, spostrzegać się dawał pewien niepokój. Ujrzano widać jazdę, otaczającą wioskę i poczęto niepokoić, ale nikt jeszcze nie przypuszczał, jak straszna katastrofa grozi księciu. Dlatego ten i ów z mieszkańców wioski wybiegał na drogę, żeby przypatrzeć się bliżej ukazującej się kawalerji, a na ulicy wioski stały gromady kobiet i rozmawiały ze sobą głośno. Wogóle, wiedząc o pobycie księcia Józefa w pałacu, sądzono, że to jaki oddział polskiej jazdy przybył do Nadarzyna. Spokój więc niczem jeszcze nie był zakłócony.

Janek tymczasem biegł ciągle naprzód, nie zatrzymując się wcale, z okiem wlepionem w dach pałacu. Gromadki kumoszek, stojących na środku ulicy, patrzyły ze zdziwieniem na tego chłopca, biegnącego ze wszystkich sił, zziajanego, z okiem iskrzącem, z włosem rozwianym, obryzganego błotem — i najrozmaitsze wnioski wysnuwały. Tu i ówdzie nawet pytano go się, czemu tak biegnie — ale Janek nie odpowiadał, nie zważał na nic, zajęty jedynie swoim zamiarem.

Stanął wreszcie przed bramą pałacu, rozwartą na oścież i widzi — na obszernym dziedzińcu stoi pluton polskich ułanów w wyciągniętym szeregu, a wiatr miota leciutko trójbarwistemi ich chorągiewkami. Na dużym ganku, pod kolumnadą, otoczony kilku oficerami, stoi książę Józef i wydaje rozkazy. Widocznie doszła go już wieść o zbliżaniu się jakiegoś wojska pod Nadarzynem — więc rozkazuje:

— Porucznik Ziembowski weźmie pół plutonu i pojedzie dowiedzieć się, co to za wojsko.

Janek słyszy ten rozkaz i dziwi się spokojności księcia i otaczających go wobec grożącego im straszliwego niebezpieczeństwa. Prawdopodobnie nie przypuszczają nawet, żeby to mogli być Austrjacy. Na ganku obok księcia kręci się mnóstwo kobiet, w jasnych, strojnych sukniach i wesoło rozmawia z oficerami, a śmiechy ich Janek słyszy w bramie pałacowej.

Chłopiec nasz nie może oderwać oczów od księcia. Książę stał na ganku, oparty na szabli i patrzał, jak porucznik Ziembowski komenderował, żeby półpluton zwinął się w dwójki.

W tejże chwili Janek, który ocknął się z zachwytu na widok pięknej, bohaterskiej postaci księcia Józefa, przecisnął się między końmi ułanów, dobiegł do ganku i stanął wprost wodza. Zdjął czapeczkę z głowy i zawołał:

— Mości książę, uciekaj. To wojsko, o którem mówisz, to Austrjacy. Wczoraj wieczorem wyszli z Łęgonic pod Nowem-Miastem, żeby ciebie schwytać. Jest ich ogromnie dużo, trzy szwadrony huzarów, szwadron pandurów i trzy armaty...

Wymówił to jednym tchem i zatrzymał się na chwilę, żeby złapać nieco powietrza. Spojrzał na księcia i otaczających go i zarumienił się jak wiśnia. Zmieszał się biedaczek — wszyscy mieli w niego wlepione oczy, na każdej twarzy rysował się wyraz podziwu. Sam książę tylko nie zmienił się — jego piękna, rycerska twarz była równie spokojna, łagodnie uśmiechnięta, jak przed chwilą, kiedy rozmawiał z jakąś piękną panią, która obok niego stała. Swe duże, szeroko rozwarte oczy, czarne i błyszczące jak aksamit, wilgotne i bystre, wpił w Janka i zapytał:

— Skąd wiesz o tem wszystkiem, moje dziecko?

— Jestem z Łęgonic — podsłuchałem jenerała austrjackiego, jak wydawał rozkazy. Całą noc jadę, żeby księcia pana ostrzedz, ale mi kucyk padł pod Nadarzynem i dlatego spóźniłem się trochę. Uciekaj mości książę, uciekaj!

Książę nic na to nie odrzekł, tylko obracając się do swoich oficerów, rzekł do nich coś po francusku, czego Janek nie zrozumiał. W tejże chwili zadudniała ziemia i na dziedziniec pałacu wpadł pędem na spienionym koniu jakiś mężczyzna i krzyknął:

— Mości książę, Austrjacy!

Wówczas książę, którego bohaterska twarz nie zadrżała nawet, zakomenderował głosem spokojnym i donośnym:

— Na koń!

I gdy, co żyło tylko z pomiędzy ułanów, poczęło dosiadać koni, kobiety zaś przestraszone poczęły płakać i uciekać do pałacu, książę zbliżył się do Janka, podniósł go do góry, pocałował i pokazując swemu wojsku, rzekł:

— Mości panowie, oto dzielny chłopiec! czy wart krzyża?

— Wart, wart! — odezwali się głośno ułani.

Wtedy książę odjął z uśmiechem krzyż wojskowy od swego munduru i przypiął go Jankowi, szepcząc:

— Nosić go będziesz ze czcią, mój chłopcze i nie splamisz nigdy krzyża polskiego, prawda?...

Janek miał oczy pełne łez — ze wzruszenia nie mógł przemówić. A książę pocałował go jeszcze raz i siadając na konia, dodał:

— Mam nadzieję, że zobaczymy się jeszcze.

I kłaniał się, przykładając ręce do ułanki, przerażonym kobietom, które go żegnały poruszaniem chustek, płaczem i błogosławieństwem, poczem stanął na czele swego plutonu i wyprowadził go za bramę pałacową. Janek pobiegł za nimi, żeby się jeszcze

przypatrzyć lepiej temu rycerskiemu księciu i temu ślicznemu wojsku, które z brzękiem szabel, z furkaniem trójbarwistych chorągiewek, z raźnem parskaniem koni wysunęło się na szeroką ulicę wioski.

Kiedy tak Janek stoi i patrzy z żalem za odjeżdżającymi, nagle zadudniała ziemia i z okrzykiem: „vorwärts!“ z gołą szablą w ręku, wzniesioną do góry, na czele huzarów, pędzących co koń wyskoczy, ukazał się chudy rotmistrz von Lampe. Maleńkie jego oczka, wytrzeszczone okropnie, świeciły jak karbunkuły — usta śmiały się jakimś strasznym, szyderskim śmiechem — duże, rude faworyty wiatr mu rozwiał, a w szabli wzniesionej do góry słońce zapalało oślepiające iskry. Za nim, za swoim rotmistrzem pędziła także z szablami podniesionemi gromada huzarów w ściśniętych szeregach, szóstkami, nie mogąc się rozwinąć w ciasnej uliczce wioski. Biegli oni straszni, rozwścieczeni, z głośnym okrzykiem.

W tejże chwili przerażony słuch Janka uderzył inny, nowy okrzyk z całkiem przeciwnej strony, to jest tej, w którą książę miał się udać. Tu w zbitej, nieregularnej masie rwali na swych maleńkich konikach Pandury dzika, niesforna jazda, ubrana najdziwaczniej, uzbrojona najrozmaiciej, w spisy, szable, łuki, karabinki. Biegli oni także co koń wyskoczy, strzelając w pędzie, a strzały ich i kule poczęły gwizdać dokoła. Janek czuł, że pod nim nogi się chwieją — był przekonany, że książę, a z nim jego garstka ułanów zginie bezwarunkowo. Otoczeni ze wszech stron przez przemagające siły, czyż zdołają się obronić?

— Ach, czemuż ja wcześniej nie przybyłem! — szeptał, zamykając oczy i siadając pod słupem bramy, drżały bowiem pod nim nogi — a przytem nie chciał, nie miał odwagi patrzeć na śmierć straszną tej garstki ułanów i księcia.

Przez chwilę, zamknąwszy oczy, słyszał tylko chaotyczną wrzawę, tętent koni, brzęk szabel, huk strzałów i świst kul — gdy nagle ponad tą dziką, straszną wrzawą rozległ się donośny i spokojny głos księcia:

— Półplutonami na prawo i na lewo — formuj się!

Janek otworzył oczy zdziwiony.

— Więc oni jeszcze żyją — szepnął; i widzi, jak ułani ze spokojem i szybkością złamali się na dwie równe części, jak jedna połowa frontem stanęła do huzarów Lampego, druga do dzikich Pandurów, a na czele tej ostatniej, z obnażoną szablą w ręku, z okiem iskrzącem się ogniem, rozpłomienioną twarzą uwija się na swym dzielnym, skarogniadym koniu sam książę Józef. Potem słyszy Janek donośną komendę księcia

— Skróć cugle — do ataku broń!

I wszystkie lance pochyliły się w pół ucha końskiego, trójbarwiste chorągiewki furknęły, i oba półplutony podobne były do groźnego zwierza, który jeży się do obrony — a ostrza ich lanc migotały pod słońce, jak roztopione złoto. Potem widzi Janek, jak książę błysnął swą szablą i jak krzyknął:

— Pędem, naprzód marsz!

I oba szeregi z głośnym okrzykiem zerwały się jak wicher i rzuciły naprzód. Z pod kopyt ich koni ziemia bryzgnęła w górę, podniosły się tumany kurzu i zrobił się straszny, nie dający się opisać zamęt. Z początku nic nie było widać, tylko gromadę ludzi i koni, zwartą w strasznym, śmiertelnym uścisku, słychać było chrzęst szabel, świst uderzeń, głuche jęki. Zakłębiło się, zagotowało wszystko jak w garnku. Potem z tej gromady wybiegł jeden i drugi koń bez jeźdźca, okrwawiony, przerażony — a potem wszystko znikło, oddaliło się. Na ulicy ujrzał Janek kilkanaście trupów Pandurów i ułanów — książę widocznie z resztą przerżnął się i gnał uciekającego wroga.

Janek odetchnął z głębi piersi. W kilka chwil potem ukazała się druga połowa plutonu ułanów, cofająca się powoli i wstrzymująca na sobie masę huzarów. I ci przebiegli koło bramy z wrzawą i znikli. Potem już biegli kłusem sami Austrjacy, Pandury, armaty. Wrzawa coraz bardziej się oddalała i cichła.

Janek, uspokojony już nieco co do losu księcia Józefa, obejrzał się dokoła. Przed pałacem stało kilka powozów i bryczek, na które z pośpiechem siadały kobiety i mężczyźni i szybko odjeżdżali. Trzask, rwetes, płacz kobiet, donośny, niecierpliwy głos mężczyzn, klątwy woźniców, tworzyły istny obraz piekła. Kto mógł, dopadał bryczki i uciekał. Powozy, bryczki, wózki wybiegały pędem za bramę i znikały. Wkrótce opróżnił się dziedziniec pałacowy, cisza go wielka zaległa, tem dziwniejsza, że przed chwilą panowała tu ogromna wrzawa — i Janek został sam.

Czuł się niesłychanie znużonym. Nieprzespana noc, długa i męcząca podróż, głód, mnóstwo niezwykłych wrażeń, wszystko to tak osłabiło chłopca, że ledwie mógł utrzymać się na nogach. Oczy kleiły mu się same — widział konieczną, niezbędną potrzebę odpoczynku. Skierował się ku pałacowi.

Idąc, rozmyślał nad swem położeniem. Obejrzał się dokoła. Za nizkim murem, z boku nieco, otaczającym widocznie ogród, gdyż wyglądało z poza tego muru mnóstwo drzew, ujrzał Janek szczyty jakiegoś wysokiego dachu. Nie namyślając się wiele, zbliżył się do muru, wdrapał się na niego i znalazł się w ogrodzie obszernym, zarosłym prześlicznemi staremi drzewami. Śmiało skierował się ku owemu budynkowi, którego dach śpiczasty ujrzał zdala.

Była to niewielka murowana altanka chińska, z wysokim dachem, ostro zakończonym — cóż, kiedy drzwi jej i okna były zamknięte! Janek smutny i zrozpaczony, obchodząc dokoła tę altanę, ujrzał na dachu dymnik. Zdecydował się zaraz. Wdrapał się na sąsiednie drzewo, którego jedna wielka gałąź dotykała się altanki, z drzewa tego dostał się na dach, a potem wlazł w dymnik i stanął na niewielkiej, dość ciemnej górce, pełnej słomy i siana.

— Będę miał wyborne spanie — szepnął z zadowoleniem chłopiec.

Zgarnął trochę siana na kupkę, urządził sobie posłanie i właśnie zamierzał się położyć, gdy jego uszu doszedł gwar i tętent koni. Wyjrzał przez dymnik i cały dziedziniec pałacowy zobaczył zapchany huzarami austrjackimi

(Ciąg dalszy nastąpi).

W dziesięciolecie niepodległości Polski — Ob. Edwardowi N. poświęcam.

My polskie dzieci.



Polsko! o której śniliśmy, jak dzieci
przez wieki... Coś nam młode serca strzegła,
od łez zwątpienia, niewiary upodleń;
wizjo snów naszych... Polsko Niepodległa!
W dziesięciolecie spełnionego cudu —
Twojej wolności i zwycięstwa ludów..
stajem dziś przed Tobą, na baczność! jak kiedyś.
Polsko! My bojownicy z pod krwawego znaku·
my rozprószeni... śnimy znów jak dzieci:
że wszyscy sercem w Tobie się połączym...
i że nam słońce miłości zaświeci;
że brat nie będzie walczył przeciw bratu,
lecz że za przykład staniemy się światu...
My polskie dzieci!

Kachna Ł. Łza.



Rozbrojenie.

Ob. Lis-Błońskiemu, kpt. W. P. poświęcam.

Noc była listopadowa, wietrzna i ciemna, pełna smutku i jakiejś nieokreślonej grozy płynącej z czarnych zachłannych ciemności. Coś niesamowitego wstawało z pośród tych czerni i szeptem cichym dawało znać, od domu do domu, o zbliżającej się chwili wielkiego cudu...

...Czas już!... czas... czas! — płynął jak rozkaz, szept, pełen tajemniczej nadziei, a jednocześnie trwożny i niepewny.

I wszędzie, po wsiach i miastach — wychodzili ludzie z chat i domów; skupiając się w mniejsze lub większe gromadki.

— Rozbrajać idziemy Niemców!... precz z wrogiem! — brzmiały stłumione okrzyki.

I w miasteczku Łęcznej (w Lubelszczyźnie) tejże nocy 11 listopada 1918 r. — zebrało się kilkunastu młodych ludzi, należących do Polskiej Organizacji Wojskowej i pod dowództwem komendanta Lisa, zamierzali iść na posterunek żandarmerji austrjackiej.

— Rozbroimy dziadów! — wołali butnie.

Na posterunku żandarmów było ośmiu. Gdy weszła grupka Polaków, z okrzykiem: Oddać broń! — żandarmi porwali karabiny i gotowi do obrony czekali tylko rozkazu swego „wachmajstra".

Lecz tenże nie spieszył się z rozkazem; zwrócił się natomiast do grupki Polaków z zapytaniem, czego żądają?

— Musicie oddać broń i wynosić się z Polski!... Żaden już upór wam nie pomoże! — odpowiedział komendant Lis.

Ale „wachmajster" prosił, by mógł choć zatelefonować do „Kreis-komendy" i zapytać się, co ma czynić — na co mu też pozwolono. Po chwili zadzwonił telefon: kilka słów prędkich nerwowych, tam i z powrotem... i wachmajster rozkazał oddać broń. Ośm karabinów wraz z ładunkami przeszło do rąk uradowanych łatwem zwycięztwem, młodych Peowiaków.

— A teraz idziemy dalej! — zawołali jednocześnie, po wyjściu z posterunku. Prędko też przyłączyło się jeszcze kilku do niewielkiej gromadki i razem ruszyli do drugiego posterunku oddalonego o kilka kilometrów: we wsi Dratowie.

Wśród czarnej nocy szli teraz, chlupiąc nogami po błotnistej drodze, zapadając w rozmaite rowy i kałuże — ochotni jednak i niezmęczeni; pełni wiary w powtórne zwycięztwo.

Lecz posterunek w Dratowie silniejszym był, aniżeli w Łęcznej. Obsadzony był też przez samych Niemców, którzy nie myśleli tak prędko rezygnować z obrony, jak Austrjacy. Gdy więc przyszli nasi Peowiacy, zastali posterunek zamknięty, a kiedy zażądali, by otworzono, usłyszeli w odpowiedzi groźne przekleństwa i trzask ładowanych karabinów... Wszystkie te jednak groźby nie zastraszyły Peowiaków; przeciwnie, zaczęła teraz kipieć młoda krew i budzić się w sercach polskie męstwo i odwaga.

— Wyważyć drzwi! — zabrzmiał krótki rozkaz. Kilku najodważniejszych stłoczyło się pod zamkniętemi drzwiami, starając się jak najprędzej rozkaz wypełnić. Na posterunku tymczasem zapanowała groźna cisza, nie wróżąca jednak nic dobrego. Wkrótce drzwi runęły i do sali posterunkowej wtłoczyli się gromadnie Peowiacy. Ale nagle światła pogasły i wśród ciemności dał się słyszeć głuchy trzask ładowanych karabinów...

Huknęły strzały... Jeden ze stojących w otwartych drzwiach krzyknął i zachwiał się.

— Co ci to Stefku? — pytali z trwogą najbliżej stojący, wyprowadzając go na powietrze.

— Chyba mnie te zbóje zabili! — jęczał Stefek, dotykając się ręką w okolicę pasa...

Lecz gdy zdjęto z niego pospiesznie pas z ładownicami, okazało się, że niemiecka kula ugodziła właśnie tylko w ładownicę i tam ugrzęzła, a Stefkowi nic się nie stało.

Tymczasem we wnętrzu budynku, ktoś z przytomniejszych zapalił światło i zaczęła się walka na dobre. Strzelano jednak przeważnie w górę — gdyż Peowiacy starali się, by bez rozlewu krwi pokonać Niemców i odebrać im broń — a Niemcy zatrwożeni nagłą napaścią bronili się jakoś niepewnie. Niemniej jednak walka była groźna i zacięta z obydwóch stron. Po długiem dopiero wzajemnem zmaganiu się, zrozumieli Niemcy, że muszą poddać się. Po jednemu też wydzierano karabiny, tak, że coraz mniej było walczących.

Ostatni tylko z żandarmów, jak wściekły pies, bronił swego karabinu, walcząc uparcie z kilkoma naraz napastnikami, ale i tego zdołano wreszcie pokonać.

Dniało już, gdy wesoło i gwarnie, wracali zwycięzcy do uśpionego jeszcze miasteczka — gdzie zaraz na wstępie dali znać o swoim powrocie, kilkoma głośnemi strzałami — a jednocześnie z kilkunastu młodych piersi zabrzmiał okrzyk, który uderzył w świtający poranek, jak złota harfa:

...Niech żyje Wolna Niepodległa Polska!

Kachna Ł. Łza.



„Romans".

Był lasek, rzeczka i mostek,
Dziewczyna — księżyc na niebie,
A w gaju skryty wyrostek,
Oboje naprzeciw siebie.

Gwiazdy, jak perły, korale
Westchnienia jak łzy kojące,
Szumiące w rzeczułce fale
I bzy pachnące.

Gołębie serca płomienne,
Usta jak miłość gorące
I myśli, zda się, niezmienne
Miłością tchnące.

O romans nieuniknionу —
Poszumy wichrów gorące —
Dziewczyny wzroczek zamglony
I ciało drżące.

Cisza — księżyc na niebie;
W głębinie łka jakieś licho,
A oni już koło siebie
Szeptają cicho.

Wincenty Kuglin.

„Jeszcze Polska nie zginęła!"



Gdy patrzymy na powyższy obrazek, podwójne uczucie owłada sercem naszem: uczucie radości i uczucie jakiegoś przeogromnego żalu i nieutulonego smutku. Mamy bowiem przed sobą jednego z bohaterów naszych narodowych, którego Moskale ująwszy w boju, wtrącili do więzienia, aby cierpiał za niepopełnione winy, aby cierpiał za to, że Ojczyznę swoją umiłował nadewszystko. Biedny więzień ostatkiem sił, krwią własną kreśli na ścianie to zdanie, które było życiem jego, które go prowadziło na cierpienia i śmierć może nieuniknioną: „Jeszcze Polska nie zginęła!" Kreśli te słowa w tej nadziei, że choć sam oczy zamknie w więzieniu moskiewskiem, to myśl jego żyć będzie i poprowadzi następców jego na krwawe boje z najeźdźcami naszej Ojczyzny, a ci przecież kiedyś dla Niej wolność wywalczą.

I oto dziś na obrazek ów patrzymy z jakąś przeogromną radością, że życzenia naszych przodków spełniły się, że trudy ich i męki nie poszły nadarmo, ale że przecież ta Ojczyzna nasza powstała wielka i mocarna, o jakiej oni marzyli i za jaką swe życie dawali ofiarnie. Radość napawa serca nasze, ale i ból je przejmuje nieopisany. Ból i żal serdeczny, że tyle istnień ludzkich pochłonął straszny najeźdźca, zanim sprawiedliwości stało się zadość. I w myśli stają nam i ci, których Kościuszko wiódł na pola Racławic i pod Maciejowice, i ci, którzy z Henrykiem Dąbrowskim i Kniaziewiczem walczyli za cudzą sprawę, aby z niej wykrzesać wolność dla Polski, i ci, którzy w latach 1831 i 1863 zaścielali swojemi ciałami i skrapiali krwią swoją polskie niwy, aby odebrać wrogowi to, co nasze było, a co nam skradziono. W chwili tej przychodzą nam na myśl owi żołnierzykowie Piłsudskiego, którzy małą garstką postanowili się zmierzyć z przeogromną potęgą białego cara. I ci wreszcie, którzy własnemi piersiami zasłaniali Ojczyznę naszą przed najazdem bolszewickim. Stają nam ci wszyscy w myśli naszej i żal nam ich życia, które ofiarnie dla Matki swej Polski złożyli, ale zarazem napawa serca nasze radość, że przecież nie było to nadarmo, że przecież, choć ich nie stało, wywalczyli to, co było marzeniem całego ich życia i co było marzeniem serc naszych niewolnych.

Gdy Zygmuntów uderzył dzwon.

1918—1928.

W dniu 11 listopada b. r. święcimy radosny moment gdy majestatyczny dzwon królewski oznajmił światu, że wybiła godzina na zegarze dziejów Zmartwychwstania naszej Ojczyzny. Ileżby dali za chwilę tę, co z świętem imieniem „Tej, co nie zginęła" na ustach konali w kazamatach i tajgach Sybiru... Ileż to pokoleń modliło się o tę chwilę i prosiło Niebiosa, by choć prochy ich były wolne. I oto jęk katowanych pod świstem knuta, płacz wdów i sierot usłyszał Bóg. Zesłał na świat wielką zawieruchę, wśród której padły trony grabieżców, a z gruzów ich powstała, jak odrodzony Feniks, Ojczyzna nasza.

Dziesięć lat upłynęło od czasu tego.

Dziesięć lat! to kropla w oceanie czasu historji, a tak znaczna liczba w życiu człowieka.

Spójrzmy za siebie.

Od samego zarania widzimy obronę Lwowa, kiedy to bohaterstwa uczono się od dzieci, widzimy dalej wysiłek narodu, którego skutkiem był wiekopomny Cud Wisły. Od chwili tej zaczyna się twórcza praca nad utrwaleniem Niepodległości. I oto wykwita przepiękny kwiat naszego ducha: Konstytucja 17-go marca. Co prawda nie dorosło do niej dzisiejsze społeczeństwo tak łatwo podatne do żerowania na jego ciele różnym karjerowiczom politycznym, jednakże akt ten jest miarą naszej rodzinnej kultury.

W tym krótkim okresie naszego istnienia, jako Państwa niezależnego jest jedno bolesne wspomnienie: Maj 1926 r. Sejmowładztwo postawiło kraj nad brzegiem przepaści. I trzeba było burzy, brzemiennej w pioruny, jako rądykalnego środka na panoszące się zło.

Oto pokrótce przebiegliśmy w myśli ubiegłe dziesięciolecie.

Przypadło nam szczęście w udziele, że jesteśmy panami na swej rodzinnej ziemi. Nikt nami nie rządzi: jesteśmy wolnym narodem. Tę wolność i swobodę wysłużyły nam cierpienia całych pokoleń. Dziś zadaniem naszym jest wolność tę utrzymać. Najszlachetniejszy syn ten ziemi, Józef Piłsudski powiedział: „Przedtem był wyścig krwi i żelaza, teraz nadszedł czas wyścigu pracy".

Niechże więc, kto żyw zakasze rękawy i stanie przy warsztacie. Niech umilkną swary i kłótnie. Boć przecie wszystkim nam świeci to jasne słońce i wszystkich nas ta jedna kochana ziemia karmi. A gdy przyjdzie czas przytuli ona do swego łona, gdy duchy nasze odejdą tam, gdzie niema płaczu i zgrzytania zębów, gdzie wieczna panuje radość i niczem niezamącone wesele.

Panie! Coś, płacząc nad Jerozolimą, nauczył nas kochać swój kraj rodzinny; daj nam, prosimy, zgodę i miłość braterską; oddalaj od nas klęski, mordy boju. Spraw, by Twój Anioł białemi skrzydłami otulił naszą ziemicę i miast berła podał kwitnącą różdżkę pokoju.

Stanisław Wojtasik.



MACIEK BZDURA GADA:

Gdzie ino mogę, to powtarzam wszyćkiem ludziom, coby się nie gniwali ze sobą, bo z gniwu nikomu nic nie przyjdzie, a ino z tego ma uciechę djabeł w piekle, jego baba i wszyćkie dyjabelskie dzieci. Ale ludzie są zawse ludźmi i ani rus przyjść z niemi do końca.

W chałpie pomiędzy jedną rodziną to ta jesce taki gniw nie jest strasny, bo on nikomu nie skodzi, ale ino tem, co się gniwają na siebie. Choć i tu do ładnych rzecy nie nalezy. Bo cy to ładnie, jak on, albo ona chodzi, jak indyk nabundziurzony, i gdyby mógł lub mogła, toby temu, na kogo się gniwa, ślipia pazurami wyskubała, albo łeb kamieniem rozwaliła. Z takiego gniwu ciesą się tylko wszyćkie djabły w piekle ze swojemi wnukami, ale pozatem nikomu on więcej nie skodzi.

Gorzej jest, jak się zacną na siebie ludzie gniwać w polityce. Wtedy to nie ino ci sami cierpią, co się na siebie gniewają, ale wszyscy ludzie od morza do morza i górale tez. A u nas takich gniwów nie brak i niewiadomo, co na nie poradzić.

Jesce przed dwoma laty rozeźlił się Witos na Dziadka, ze go z Warsiawy napędził i nie dał mu być ministrem, i dalej się gniwa, choć wie, ze Dziadek zrobił to nie przez złość na niego, ale po to, aby rozmaitych urwipołciów od korytka poodpędzać i jaki taki porządek zaprowadzić. A jak Witos swój nos skrzywił na lewo, to wszyscy ci, co się jego kapoty trzymają, poskrzywiali swoje nosy jesce bardziej na lewo i takze się gniwają, choć sami nie wiedzą, na co i po co. Ja się tam na polityce nie rozumię, ale to przecie wiem, ze Dziadek cokolwiek robił, to robił to nie dla własnej chwały, ale dla pozytku całego narodu. Ale i to takze wiem, ze Witos to chłop nie taka hetka pętelka, ale cłek morowy i swój rozum ma w głowie i niejedno mógłby jesce dobre la luda zrobić. Sami chyba przyznacie, ze jakby oni oba wzięli się za ręce, a inksi jem pomogli, to niejednego dobrego dokonaćby mogli. Są tacy, co powiadają, ze najlepiejby było Witosa się wyprzyć, a pójść razem z Dziadkiem i wziąć się naprawdę do roboty, ale mnie się to przecie nie widzi, bo przecie takiego cłeka, który tyle la kraju dobrego zrobił, postponować ni mozna, a choćby nawet, to i tak się go pozbyć nie moznaby było, bo ma on za sobą jesce tyla luda, którzy w zadnem niescęściu by go nie opuścili. Najlepsiejsa byłaby zgoda i wierzę, ze tak jedni, jak i drudzy się namyślą i do tej zgody przyndzie.

Albo weźmy socjalistów! Ja tam socjalistą nie jestem, toć wszyćkiem wiadomo. W Pana Jezusa i Matkę Boską wierzę, cudzego nie pragnę, a swojego ni mam, cudzem babom w ślipia nie zaglądam, boby mnie pogrzybacem natłukły, swojej nikomu nie odstępuję, bo się mi jesce nie umnozyła, to i jakiby tam był ze mnie socjalista?! Za jednem ino jestem, to jest za wolną miłością, bobym naprawdę chciał, coby się wszyscy ludzie na świecie miłowali, jak anioły, a to przecie chyba nic wspólnego ze socjalizmem ni ma, choć oni tak la świata głosą wolną miłość. Ale co inksego na papiżu, a co inksego tak naprawdę. Bo jakby tak było, jak oni powiadają, toby nietylko wszyćkich ludzi na świecie miłowali, ale przedewszystkiem miłowaliby się sami pomiędzy sobą. A tu temcasem, jak w gazytach stojało, socjalisty się połamali i ani rus zlepić się nie mogą. Ci powiadają, ze chcą dobrze, i tamci powiadają tosamo. A tak ci, jak i tamci zamiast to dobrze robić, to się pomiędzy sobą zreją i zreją. A przecie wiadomo, ze jak się dwóch za łby wodzi, to trzeci z tego korzysta. Ino nie wiadomo, kto tu będzie tem trzeciem: Prusaki, Moskale, cy ich przyjaciele wszelakiego rodzaju komunisty.

Źle to jest i bardzo źle, ale bardzo się temu dziwić ni mozna, boć przecie kuzdemu wiadomo, ze socjalisty mają na swojem śtandarze wymalowany cerwony kolor, a wszelka cyrwoność krew oznaca, a krew się robi, jak jeden drugiego w nos zamaluje. Bez to tez i oni, tak mi się przynajmniej widzi, cy trza, cy nie trza, to się za łby włócą, jak ni mają z kiem obcem, to sami ze sobą.

Ale gorzej jest, jak wszelkiego rodzaju narodowe katoliki to samo robią. A nase katoliki od rozmaitych demokracyj, to śtyry razy socjalistów przesły. Skubią się nie ino z inksemi, ale i między sobą jeden drugiemu na palce patrzy i o byle co na niego huzia!

A bez to wszyćko ino ta święta polska ziemia cierpi i cierpią na niej ci ludzie, którzy się tu urodzili i którzy na niej tego roku, albo na bezrok zamrzyć muszą. Cierpią, a przecie lepiejby było, jakby się te wszyćkie polityki, co się za łby ze sobą włócą, podali sobie ręce, wzięli się do roboty i pędzili bidę prec z kraju. Kiedy Dziadek chce la ludzi dobrze robić, niechby mu pomogli, to prędzejby było to dobrze, którego tak wszyscy potrzebujemy.

W listopadzie.

Wstał chmurny dzionek, w okno me zapukał.
I brudnem światłem rozlazł się po ścianach.
Jakby słoneczka ukrytego szukał —
A nie znalazłszy — rozpłakał się zrana..

Skarżąc się niebu w rozdąsanym wietrze.
Łzami rozpaczy bił w okienne szyby.
Pytając: — prędko słonko oczy przetrze
I smutne pola i ludzkie sadyby.

Budząc się ze snu — uśmiechem ozłoci?..
Spije dżdżu krople, a chmury rozpędzi?
Osuszy ziemię, co drożyny błoci
I zmokłe ptactwo, grzejąc, rozgawędzi?

Na duszę moją ciężki smutek opadł.
Pod wpływem wdowio-posępnej Natury.
Żem przez łzy patrzał, jak szalał listopad,
Siekąc wichrami, z skowytem ponurym...

Albatros.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.



Taniec przedpogrzebowy u Fidżyjczyków.

Na wodach Oceanu Spokojnego.

W poprzednim numerze „Roli" opowiedzieliśmy o strasznych stosunkach w Nowej Pomeranji, gdzie ludożerstwo kwitnie po dziś dzień w najlepsze. Na innych jednak wyspach zostało ono jednak od lat wielu zaniechane, a mieszkańcy tych wysp coraz bardziej się cywilizują.

Dzisiaj przeniesiemy się myślą na inny archipelag Oceanji, a mianowicie na archipelag Fidżi, dość dobrze wysunięty ku wschodowi. Fidżyjczycy już od lat przeszło pięćdziesięciu zaniechali ludożerstwa, gdyż już w roku 1877 przestano tam żywić się ludzkiem mięsem. Ale i wówczas ludożerstwo miało tam pewne ograniczenie. Zjadano bowiem tylko rozbitków morskich lub nieprzyjaciół zabitych na wojnie, lub wziętych do niewoli.

Jeżeli się kiedy rozbił jaki statek w bliskości wsi, mieszkańcy jej starali się przekonać, czy rozbitki należeli do pokolenia przyjaznego im, lub nieprzyjaznego. W pierwszym wypadku każdy biegł do domu i znosił, co mógł dla poratowania nieszczęśliwych. Nie powodowało jednak nimi w tym wypadku uczucie litości, każdy bowiem podarunek musiał być później sowicie opłacony. Rozbitki, obsypywani tak darami, nieraz płakali, wiedzieli bowiem, iż przyjdzie im może cały rok pracować na to, aby wynagrodzić te przedmioty, które im przyniesiono w ofierze.

Statek rozbity stawał się własnością wsi, przy której się zatrzymał.

Jeżeli przekonano się, iż rozbitki należą do nieprzyjacielskiego pokolenia, uzbrajano się na nich w pałki i piki. Biedacy, nie mając zazwyczaj czem się bronić, rzucali się w morze, uciekając wpław przed goniącemi ich łodziami. A gdy te zdołały ich dosięgnąć, mordowano ich bez litości, a ciała zabitych wrzucano do pieca i potem zjadano.

Zjadano także nieprzyjaciół zabitych w boju. Co do wziętych żywcem do niewoli, to tych oddawano królowi. Król trzymał ich uwięzionych do końca wojny, a wtenczas sprawiał ucztę dla swych wojowników i rozdawał im jeńców, dając największą ich liczbę tym, którzy najwięcej odznaczyli się w boju. Jeńcy ci stawali się niewolnikami, atoli los ich nie był jeszcze najgorszy; nie znęcano się bowiem nad nimi.

Gorzej było z niewolnikami, których sobie król zatrzymał. Tych bowiem wysyłano zazwyczaj gdzie na wieś w głąb kraju i tam karmiono i strzeżono ich jak zwierzęta, aby ich potem zabić i zjeść przy jakiej uczcie publicznej.

Jak to już wyżej powiedzieliśmy, obecnie ludożerstwo znikło tam już zupełnie.

Życia własnego nie cenią również zbyt wysoko, a już starość rodziców nie ma u nich należytego poszanowania i pospolicie przedstawia wstrętny widok. Często bardzo starzec należący do niższych warstw społeczeństwa, czując się chorym lub niedołężnym, prosi własnego syna, aby go zadusił i skrócił jego cierpienia. Syn czyni to niby przez miłość dla ojca i grzebie go żywcem bez żadnych ceremonij. Czasem zły syn, znudzony staraniami około zniedołężniałego rodzica, dusi go pokryjomu i zakopuje w ziemi bez żalu, bez czci, bez żadnych honorów.

Jeżeli umrze ktoś z klasy zamożniejszej, to i po śmierci ma znaczenie u pozostałych. A więc jeszcze przed śmiercią nacierają go wonnymi olejkami i przyodziewają w najpiękniejsze szaty, nic sobie z tego nie robiąc, że postępowanie takie może chorego dobić. Po śmierci krewni i przyjaciele schodzą się do ciała. Mężczyźni ceremonjalnie zalewają się łzami i drą na sobie odzienie, którego i tak wiele nie mają. Kobiety krzyczą przeraźliwie. Następnie przywiązują nieboszczyka do drążka, trzymają go w górze tak, aby był wszystkim widoczny, a wojownicy rozpoczynają taniec pogrzebowy taki, jak to widzimy na naszym obrazku.

W chwili, gdy nieboszczyka mają kłaść do grobu, każdy dotyka jego nosa swoim nosem, dając mu w ten sposób oznakę szacunku i przyjaźni.

Ciało składają potem do grobu, a jeżeli to był wielki naczelnik, wszystkie jego żony ubiegają się o pierwszeństwo, aby być uduszone i wraz z nim pochowane. Bliscy krewni ucinają sobie palce na znak żałoby, ale nie można ucinać nigdy więcej palców, jak dwa u każdej ręki. Po stracie więc jednego krewnego ucinają jeden palec, po stracie drugiego drugi i t. d., jeżeli ktoś straci w życiu więcej aniżeli czterech krewnych, to już nie ucina dalszych palców, ale drugie zgięcie u tego samego palca.

Jak wszystko zrzesztą, tak i małżeństwa bywają u Fidżyjczyków zawierane w oryginalny, swoisty sposób. Gdy rodzice chcą ożenić syna, oświadczają się z tem u rodziców narzeczonej i składają im równocześnie dary, przepisane zwyczajem. Ojciec i matka panny, przyjmując je, nie objawiają nigdy zaraz, czy na prośbę przystają, czy nie, odpowiadają tylko, że zwołają radę familijną. Następnie wszyscy krewni się gromadzą, oprócz panny, której to najwięcej dotyczy, a której się jednak o zdanie nie pytają. Każdy wypowiada swoje mniemanie, naradzają się długo, a dopiero po długiej rozwadze następuje uchwała, czy związek ma być zatwierdzony, czy nie.

W pierwszym wypadku rada familijna dzieli się darami i oznajmia rodzicom narzeczonego, iż prośba ich jest przyjęta, a ci przygotowują ucztę dla rodziny panny. Jeżeli rada familijna nie przystaje na małżeństwo, odsyłają dary, wymawiając się bardzo, a nawet posyłają od siebie podarunki, aby gniew strony obrażonej załagodzić.

W dzień, w którym oświadczyny zostają przyjęte, ojciec bierze wieczorem za rękę córkę i odprowadza ją do domu narzeczonego; tam pozostaje na próbie aż do dnia małżeństwa, aby się przekonano, czy jest pracowita i czy nie ma jakiej większej wady.

Wielożeństwo, które jest przywilejem naczelników, rzadko napotyka się między ludem prostym.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ślepa niewolnica.

Otrzymawszy tę wiadomość Jagiellona, pojechała ze swoimi towarzyszami do wielkiego namiotu Kara Mustafy, zsiadła z konia i weszła.

Kara Mustafa przyjął ją z wielką grzecznością.

— Przychodzę do ciebie z prośbą potężny dowódzco, — rzekła Jagiellona, — i spodziewam się, że mi jej spełnienia nie odmówisz! Dowiaduję się właśnie, że trzymasz w swym obozie tę szczególną istotę, którą nazywają Czerwonym Sarafanem...

— Żołnierze moi powiadają, że Czerwony Sarafan przynosi nieszczęście tym, którzy go przytrzymują, — odpowiedział Kara Mustafa, — chcę się przekonać, czy ta wieść jest prawdziwa, czy też nie.

— I mnie także interesuje ten Czerwony Sarafan, — mówiła Jagiellona dalej, — przychodzę więc do ciebie, potężny baszo, ażebyś go oddał do mego rozporządzenia.

— Jeżeli tego pragniesz pani, to chętnie ci go daruję! Weź go z obozu!

Wielki wezyr dał jednemu z oficerów swego orszaku rozkaz oddania Czerwonego Sarafana wojewodzinie, która mu za to wyraziła swą wdzięczność.

Następnie Jagiellona wyszła z oficerem z namiotu, wsiadła na konia i pojechała do miejsca, w którem znajdował się Czerwony Sarafan.

Tatarzy trzymali go tam ciągle przywiązanego do drzewa.

Dano im rozkaz, ażeby go oddali wojewodzinie.

Jagiellona spojrzała ponuro na szczególnego człowieka, na którego szyji, niegdyś w poszytej słomą budzie pasterskiej, spostrzegła medaljon i poznała od razu ową pamiątkę.

Tatarzy odwiązali od drzewa sznur, krępujący jeńca i przywiązali jego koniec do konia wojewodziny.

Czerwony Sarafan nie stawiał żadnego oporu. Spojrzał tylko przelotnie na Jagiellonę, a potem zaczął się w nią wpatrywać, jak gdyby w nim budziła szczególne zajęcie.

Coś z niepojętą siłą pociągało go do tej, której własnością został nagle.

Szczególny uśmiech wojewodziny, trwał jednak tylko chwilę! Następnie odzyskała zimną krew.

Odjechała. Czerwony Sarafan szedł przy jej koniu pochylony, śmiejąc się.

Żołnierze, zobaczywszy jeńca, przywiązanego do konia wojewodziny, ucieszyli się w przekonaniu, że nie pozostanie on długo w obozie. Uspakajało ich przytem to, że był w rękach chrześcijanki, która w rzeczywistości nic nie miała z nimi wspólnego.

Szczególna ta jazda kobiety z przywiązanem do konia widmem wojny, zwracała uwagę wszystkich.

Od czasu do czasu wojewodzina spoglądała na jeńca, podarowanego jej przez wielkiego wezyra z widoczną ciekawością i niepokojem.

Nareszcie zbliżyła się do wspaniale przystrojonego namiotu.

Słudzy jej nadbiegli i zaprowadzili Czerwonego Sarafana do jednego z namiotów, do którego Jagiellona weszła również zsiadłszy z konia.

Czerwony Sarafan po wejściu do namiotu, rzucił się na rozciągniętą tam lwią skórę. Gdy Jagiellona weszła, nie poruszył się. Był teraz zajęty jedną myślą wymknięcia się jakimkolwiek sposobem i dostania się do obozu króla polskiego, aby mu zanieść wiadomość od Sassy i oblężonych.

Straszna kobieta pozostawszy sam na sam z Czerwonym Sarafanem, postanowiła się ostatecznie upewnić, kogo ma przed sobą. Przez szereg zręcznych pytań zdołała wreszcie stwierdzić, że Sarafan, to nikt inny, tylko syn jej nieślubny i Jakóba Sobieskiego. Dowiedziała się również, że chłopiec, którego kazała przykuć w podziemiach, aby tam głodową śmiercią zginął, zdołał wprawdzie śmierci uniknąć, ale utracił zdrowy rozum, i stał się tułaczem i pośmiewiskiem tłumu. Uczucie macierzyńskie ani litość nie odezwały się jednak w sercu Jagiellony.

Czerwony Sarafan nic nie wiedział o swojem pochodzeniu. Umysł jego był skutkiem nieludzkiego obejścia, niedostatku i długiej choroby tak ucierpiał, że był prawie obłąkany, a śmiech jego, był śmiechem prawdziwego warjata.

Nie domyślał się on, co się działo w tej chwili w duszy tej, w której mocy się znajdował, że miał przed sobą swoją matkę. A ta matka tak długo była przekonaną, że hańba jej umarła i została zapomniana, ujrzała nagle przed sobą niebezpieczeństwo pociągnięcia do odpowiedzialności za to, co zaszło.

Matka i syn byli sami. Jakież uczucie przejmowało tę kobietę na widok syna. Nie znała ona miłości żadnej, serce jej było i dla miłości macierzyńskiej zamknięte.

Natura uczyniła ją wyjątkiem! Niegodna ona była zostać matką! Ten szatan patrzył z niechęcią i nienawiścią na nieszczęśliwego. W jej umyśle dojrzewał plan zgładzenia go, żeby mogła pozbyć się świadka swojej winy.

— Jesteś szpiegiem! — rzekła, — poco i skąd przybyłeś do tego obozu?

Czerwony Sarafan nic nie odpowiedział.

— Czy wiesz, co robią ze szpiegiem? — mówiła Jagiellona dalej, — mówią o tobie, że się pokazujesz naprzemian u obu stron wojujących. Byłeś w mieście. Czy powiesz jak silną jest załoga? Czy powiesz, jak długo oblężeni mogą się opierać głodowi?

Czerwony Sarafan z uśmiechem wstrząsnął głową.

— Puść mnie, — rzekł, — pocom ja tutaj?

— Masz wyznać, co widziałeś w mieście?

— Ja nic nie wiem! — odpowiedział Czerwony Sarafan.

— Uparty jesteś! Nie wyjdziesz stąd! Namyśl się i wyznaj!

— Nic nie widziałem! Nie wiem nic! — odparł Czerwony Sarafan.

— Więc umrzesz szpiegu! — rzekła Jagiellona, — nie sądź, żebyś mógł uciec! Masz do wyboru: przyznanie się, lub śmierć! Daję ci krótki czas do namysłu!

Rozdział XXXVIII.

Zuchwałe postanowienie.

Podczas szturmu Turków, który oblężeni bohatersko odparli, kilku rannych Turków wpadło w ręce walczących i na wałach i murach, i umieszczono ich natychmiast bezpiecznie, ażeby z nich wydobyć wszelkie możliwe wiadomości o oblęgających.

Hrabia Stahremberg sam nazajutrz po krwawej ale zwycięskiej bitwie, udał się do domu, do którego zaniesiono rannych nieprzyjaciół. Wypytywał się ich w przytomności kilku oficerów o siłę pojedynczych oddziałów, o zapasy amunicji i o roboty oblężnicze. Kilku rannych podaje mu niejakie szczegóły. Wszystko to jednak dowodziło, że oblęgający posiadali niezmierne środki i że Wiedeń pomimo całej dzielności mieszkańców i obrońców, nie będzie mógł utrzymać się, jeżeli pomoc spiesznie nie nadejdzie.



Tatarzy przywiązali go do drzewa.

— Chorągiew Proroka powiewałaby już teraz na murach miasta, — zawołał jeden z Turków z wyrazem dzikiego gniewu, — gdybyśmy byli sami na siebie nie sprowadzili nieszczęścia! Zadajcie mi śmierć! Nie chcę żyć dłużej! Jestem pewny zguby wojsk naszych!

— O jakiem nieszczęściu mówisz? — zapytał Stahremberg.

— Czy nie wiesz, że tam u Tatarów znajduje się czerwone widmo wojny? — mówił Turek dalej, — schwycili je i zatrzymali, a to przynosi śmierć, zgubę i porażkę!

— Czerwone widmo wojny? — zapytał Stahremberg.

— Turek mówi o tym szczególnym człowieku, panie hrabio, — rzekł jeden z oficerów do Stahremberga, — którego nazywają Czerwonym Sarafanem i którego księżna Aminow wysłała do króla polskiego.

— A zatem Czerwony Sarafan jest w niewoli? — rzekł Stahremberg.

— Wolałbym, żeby był tu, nie tam! — odpowiedział raniony Turek, — dopóki on będzie w obozie, wojsku nie będzie się szczęściło.

— Czy wiesz z pewnością, że żyje jeszcze?

— Żyje, tak! Tylko Tatar, który był przy królu polskim i jako szpieg został schwytany w obozie, poniósł śmierć.

— A zatem obaj posłańcy nie przebyli szeregów nieprzyjacielskich!

Hrabia Stahremberg przez resztę dnia miał tyle do czynienia z zarządzeniami, które szkody wyrządzone podczas nocy, uczyniły potrzebnemi, że dopiero nazajutrz rano mógł zawiadomić o tem, co zaszło, księżnę Animow, gdy znowu przyszła obdzielić i zasilić biednych i chorych.

— Przychodzę, — rzekł, zawiadomić księżnę panią, że nasi posłańcy nie dostaną się do króla polskiego!

— Mów pan, panie hrabio... więc mych posłańców spotkało nieszczęście? Przejście się zawaliło? Powrócili nic nie załatwiwszy.

— Nie, księżno! Tatar króla został schytany i zabity...

— Iszym Beli nie żyje!

— Tak zeznał jeden z ujętych Turków.

— A Czerwony Sarafan?

— Znajduje się w ręku nieprzyjaciela! Został ujęty.

Sassa opuściła ręce. Twarz jej przybrała wyraz boleści.

— Tegom się nie spodziewała! — rzekła z cicha.

— Zła to wiadomość, księżno, — mówił hrabia Stahremberg dalej, — dowodzi ona, jak ściśle jesteśmy otoczeni! Nikt nie zdoła się wydostać!

— Pomoc jednak trzeba sprowadzić! — rzekła, — króla trzeba przywołać koniecznie! Nie można także pozostawiać Czerwonego Sarafana w rękach Turków, którzy go umęczą i zamordują! Iszym Beli już zginął, ale Czerwonego Sarafana możnaby jeszcze ocalić!

— Należałoby zaproponować wymianę jeńców, — rzekł hrabia Stahremberg.

— Na to Turcy nie przystaną, panie hrabio, znam ja ich! Nie, trzeba zrobić co innego! Ja wiem sposób, — rzekła Sassa nagle z promieniem nadziei we wzroku, tylko tym sposobem Czerwony Sarafan, może być ocalony; nie ma chwili do stracenia! Daj mi pan, panie hrabio, kilku jeźdźców z białą chorągwią!

— Co księżna pani chce uczynić?

— Ja sama udam się do tureckiego dowódzcy, i zażądam od niego wydania Czerwonego Sarafana, — odpowiedziała Sassa, ożywiona odwagą. — Ja jedna bezpiecznie mogę się udać do obozu Turków, którzy mnie jako małżonce rosyjskiego dostojnika, nie zrobią nic złego, ażeby nie ściągnąć na siebie gniewu Rosji.

— Szlachetny to i wspaniałomyślny ale zuchwały zamiar, księżno! Turcy nie szanują białej chorągwi! Obawiam się o życie pani! Jest moim świętym obowiązkiem ostrzec panią!

— Postanowienie moje jest stanowcze, panie hrabio, i nic w świecie nie odwiedzie mnie od niego.

— Kiedyż księżna pani myśli opuścić miasto?

— Za godzinę, panie hrabio!

Stahremberg, przyrzekł zarządzić wszystko, co potrzeba i odprowadził księżnę do jej powozu, otoczonego przez biednych.

Sassa natychmiast udała się do małżonka, aby mu przedstawić swe postanowienie i prosić go o zgodę na swój czyn. Książę oburzył się w pierwszej chwili.

— To niemożebne! — zawołał, — nie mów mi o niczem podobnem.

— Ale mój małżonku, ten nieszczęśliwy zginie, jeżeli go nie ocalimy, — mówiła Sassa ze łzami w oczach, — biedny Sarafan zginie, a to ja go wysłałam.

— Nie myślę się mieszać w takie sprawy za nic w świecie, Sasso! To jest moja ostateczna decyzja. Zresztą niepodobna z wielkim wezyrem wchodzić w układy.

— Gdy idzie o ocalenie człowieka, nic nie jest niepodobnem, mój małżonku. Udamy się z białą chorągwią do Turków i zażądamy wydania jeńca.

— To niepodobna! Uwolnij mnie od podobnych propozycyj. Nie chcę z tem mieć nic do czynienia. Ani słowa więcej Sasso. Znasz mnie. Nie pobudzaj mnie do gniewu!

Twarz księżnej przybrała tęskny, bolesny wyraz. Znała ona księcia. Jej prośby na nic przydać się nie mogły w tej chwili.

Spuściła oczy i smutna wyszła z pokoju.

W przyległym salonie stanęła. Przypomniał jej się jeszcze jeden dobry sposób wywarcia wpływu na księcia i zmiękczenia go. Myśl ta dodała jej nowej odwagi.

— Musisz ocalić Czerwonego Sarafana, jeżeli jeszcze nie zapóźno!

Słowa te ciągle miała na myśli. Zaczęła drżącym, cichym głosem śpiewać jedną ze swych piosenek. Dzwięki jej rozlewały się po pokoju i dochodziły do księcia żałosną skargą. Służba wiedziała o tem, że księżna, ilekroć nie mogła ułagodzić swojego małżonka, śpiewała piosnkę o skowronku tę samą, którą książę słyszał wówczas, gdy ją ujrzał po raz pierwszy. To też wszyscy milkli, gdy zaczynała śpiewać, gdy miękkie a wdzięczne tony rozlewały się po pałacu. Wszyscy słuchali.

Książę stał także i słuchał. Wpływ pieśni nie zawiódł. Gniew jego uspokoił się, łagodne uczucia znalazły przystęp do jego duszy.

Śpiewała tak pięknie, tak miękko, tak przejmująco. Pieśń jej była błagalną prośbą za Czerwonym Sarafanem.

Książę pocichu otworzył drzwi.

Sassa spostrzegła go i z otwartemi ramionami pobiegła do niego. Łzy perliły się w jej oczach.

— Tobie zawdzięczam wszystko; mój małżonku, — tyleś uczynił dla biednej niewolnicy z Sziras! A teraz nie chcesz nic uczynić dla tego nieszczęśliwego, który jęczy w szponach tureckich.

— Zwyciężyłaś mnie Sasso! Spełnię twoją prośbę, — odrzekł książę.

W godzinę później otworzono jedną z bram miasta i wyjechał z niej powóz. W powozie siedziała Sassa i książę. Trzech jeźdźców jechało naprzód. Jeden z nich trzymał białą chorągiew.

Mały ten orszak zbliżał się do przekopów oblęgających. Nie strzelano do niego.

Czy Czerwony Sarafan żył jeszcze?

To pytanie zajmowało siedzącą obok poważnego księcia Sassę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Znaleziony koń.

(Humoreska).

W pewnem miasteczku był komisarz, który pomiędzy innemi zaletami miał i tę, że strasznie nie lubił wydawać pieniędzy; a że ta zaleta w skrajnem przeciwieństwie była z bezustanną suszą jego gardła, czyli pragnieniem, które się niestety wodą ugasić nie dało, ale tylko wszelakiemi płynami, wyrabianemi z winogron, jęczmienia, ryżu, a chociażby i kartofli, których to płynów kupcy i szynkarze jeszcze nie nauczyli się dawać darmo, przeto, aby te przeciwieństwa ze sobą pogodzić, musiał się pan komisarz uciekać do przemysłu, który też znakomicie się opłacał.

I stało się pewnej pięknej nocy, że ni stąd ni zowąd zjawił się koń na rynku miasta i jak szalony pędził wzdłuż kamienic. Stróże z razu pochowali się z bojaźni, bo sądzili, że to pokutnik jaki harcuje w postaci konia, ale gdy nad ranem się rozwidniło, przekonali się, iż to rzeczywisty koń bez pana i dali znać o tem komisarzowi, który konia zaprowadzić kazał do sąsiedniej oberży i przewróciwszy się na drugi bok, spał dalej.

Przed południem obwoływał woźny po mieście, że znalazł się koń, a właściciel winien się zgłosić do magistratu. Równocześnie poszedł pan komisarz do sąsiada oberżysty i nie ciekawy wcale oglądać konia, napominał tylko oberżystę, aby konia dobrze pasł i potem, gdy właściciel się znajdzie, kazał sobie dobrze zapłacić, a jeżeli się właściciel nie znajdzie, no — to koń będzie sprzedany, a z dochodu, jaki stąd wypłynie, zapłacą się najsamprzód koszta jego utrzymania, do których i śniadanko i rozmaite płyny dołączyć będzie trzeba, boć przecież niepodobna, aby tak wielkich trosk, jak starania o konia, iżby nie miał krzywdy, aby był właścicielowi zwrócony, lub sprzedany na licytacji, na czczo podejmować.

Gospodarz był tego samego zdania i pasł konia znakomicie, a pan komisarz codziennie przychodził dowiadywać się o zdrowie szkapiny, a że przy tej sposobności popłukiwano kieliszkiem wódeczki, przetrącano śniadanko, wypito piwka, ponczyku, a czasem i buteleczkę wina, temu tylko ten się dziwić będzie, który się na tem nie zna i nie wie, co to kłopot o konia.

Minął czas przepisany, a właściciel się nie zgłosił, ogłoszono więc licytację (czas sprzedaży publicznej) na dzień targowy i przystąpiono do niej pod nadzorem samego pana komisarza, który atoli nie był w podwórzu, gdzie licytowano, ale w oberży krzepił spragnioną duszę. Wreszcie wyszedł, aby być przy zakończeniu licytacji, a było to właśnie w tej chwili, gdy przewodniczący licytacji rozdzierał się na całe gardło: „Pięćdziesiąt talarów po pierwsze! Pięćdziesiąt talarów po drugie! Pięćdziesiąt talarów po drugie — po drugie — i — — “...

Pan komisarz spojrzał wtenczas po raz pierwszy na konia i — oniemiał. Zaledwie tyle miał sił, aby wstrzymać licytację, a potem usiadł, blady jak ściana, a nogi drżały pod nim, jak we febrze.

— I cóż się stało? — zapyta niejeden.

Oto pan komisarz swoją lichą szkapinę wkręcił pewnemu obywatelowi w sąsiedztwie, aby się cokolwiek podpasła. Szkapisko zatęskniło do domu i pewnej nocy drapnęło z pastwiska i przybiegło do miasta, a obywatel wiedząc, że koń uciekł do domu, dalej tej sprawy nie poszukiwał i dziwił się tylko, że go pan komisarz znowu nie przyprowadził. A ten koń, którego pan komisarz paść kazał i który tyle kosztów w oberży i w biurze policji narobił i ostatecznie poszedł na licytację, był — własny koń pana komisarza.





Poradnik gospodarczy.

Z pośród ptaków udomowionych najwięcej zwolenników i miłośników posiada gołąb, a to dzięki różnym swoim zaletom. U nas niestety panuje ogólne mniemanie, zresztą niczem nieuzasadnione, że chów gołębi — to jakaś zła nawyczka, to droga zabawa, niepotrzebne wyrzucanie grosza. Takie zdania pochodzą jedynie z niedokładnej znajomości hodowli gołębi.

Tak samo moglibyśmy powiedzieć o chowie kur, kaczek, gęsi, królików i t. p. — widząc u niektórych chodowców takie rasy i odmiany, które w zupełności nie nadają się do chowu gospodarskiego, który ma nam przynieść pewien dochód, a daje tylko straty.

Wiemy przecież dobrze, że chów drobiu, gołębi, królików na wsi może być źródłem bardzo poważnych dochodów, jeśli hodowla jest prowadzona mądrze, oszczędnie — po gospodarsku.

Chów gołębi może więc mieć kierunek gospodarski, wymaga małych wkładów, daje zaś pokaźne zyski. Należy jednak zastanowić się, jakie rasy hodować, by cel osiągnąć.

Z pośród bardzo licznych ras gołębi nadają się do chowu na wsi jedynie gołębie opasowe (użytkowe), które posiadają dużą budowę ciała, są bardzo płodne, odporne na wszelkie choroby, nie wymagają zbytniej pielęgnacji, łatwo się przyswajają i pilnie żerują po polach.

Na wsi chów gołębi nie jest kosztownym, więc musi przynosić zysk, ponieważ cały przychówek posiada dużą wartość pieniężną i może służyć nie tylko dla użytku spożywczego hodowcy, ale nadaje się również do sprzedaży na rynkach pobliskich oraz do wywozu zagranicę.

Sama hodowla gołębi opasowych nie zabiera wiele czasu hodowcy i nie odrywa go od pracy w gospodarstwie. Na wsi gołębie żywią się same i pilnie wychowują młode. Do hodowcy należy jednak urządzić gołębiom odpowiedni gołębnik, by ich ochronić od wtargnięcia drapieżników, od słoty i mrozów, a dać im spokojne miejsce do gnieżdżenia się i wypoczynku.

Za utrzymywaniem gołębi opasowych na wsi przemawia również niezwykle szybkie rozwijanie się i waga młodych, które jako miesięczne dają nam półtora kilograma (3 funty) wagi. Ponieważ karma nie kosztuje nas nic, lepiej się opłacają od kurcząt i dają smaczniejsze mięso. Gołębie opasowe są bardzo płodne i w ciągu jednego roku dają nam od 6 do 8 lęgów (12 do 16 młodych).

Niektórzy na wsi twierdzą, że gołębie czynią szkody na polach. Takie twierdzenie jest śmieszne i kłamliwe. Przecież gołąb nie grzebie w ziemi, jak kura, a tem samem nie wygrzebuje zasianego ziarna. Ziarna ze zboża nie wybija jak wróbel — podnosi natomiast ziarna wypadłe na ziemię. Zjada bardzo dużą ilość nasion różnych chwastów, pomaga więc rolnikowi do oczyszczenia pola. Gołąb opasowy jest mało wymagający co do karmy, przeto utrzymanie jego jest mało kosztowne. Różne poślady, nasiona odmłynkowane, gotowane kartofle z osypką — wszystko to służyć może jako karma dla gołębi.

W kraju naszym mamy znakomite rasy gołębi opasowych, które łapczywie wykupują zagraniczni hodowcy, u których gospodarska hodowla gołębi stoi bardzo wysoko i przynosi tysiączne zyski. Nasze gołębie opasowe są bardzo cenione w Niemczech i Czechosłowacji, gdzie zdobyły sobie pierwsze miejsca jako bardzo dobry materjał hodowlany.

Hodowla gołębi opasowych najwyżej stoi we Francji. Daje ona tam duże zyski. Francuzi tuczą gołębie, a następnie nietylko sami jedzą, ale sztuki bite utuczone wysyłają do Anglji.

Czas najwyższy, by i u nas pomyśleć o tem, by rozwinęła się hodowla gołębi mięsnych, nadających się do tuczenia, by nasz rolnik, który kocha ptactwo domowe oprócz wielkiej przyjemności, czerpał z gołębi zyski, by przy ciężkiej pracy mógł spożywać więcej mięsa i wszedł w ślady hodowlane zachodnich rolników.

Poradnik kucharski.

Sztuka mięsa. Wybrać mięso bardzo czerwone, najlepiej z krzyżówki, oblane białym tłuszczem i wziąć mniej więcej pół klg. na osobę. Mięso należy wypłókać, oczyścić, i gotować z rozmaitemi włoszczyznami tak, aby buljon z niego był smaczny. Sztuka mięsa biała podaje się z różnemi jarzynami, jak: kapustą białą (na części pokrajaną) lub włoską, zgrabnie pokrajaną marchwią, rzepą, kalarepą i ziemniakami. Wszystkie te jarzyny powinny być ugotowane w buljonie, a skoro zmiękną, zaprawić je mąką z masłem, solą i jeszcze z tem podgotować. Przed wydaniem pokrajać sztukę mięsa zgrabnie i obłożyć odgotowanym garniturem.

Sztuka mięsa z chrzanem. Pół godziny przed wydaniem obiadu, należy mięso wyjąć, pokrajać w ładne plasterki, ułożyć na półmisku, ugarnirować i zalać mięso przygotowanym sosem chrzanowym. Wstawić do piecyka na 20 minut, a gdy się zrumieni z wierzchu, podać.

Pieczeń wołowa duszona zwyczajnie. Wziąć duży kawał środkowej, zrazowej pieczeni, zbić, zalać dobrze niemocnym octem, przegotowanym z korzeniami tak, aby cała była zamoczona i zostawić tak przez parę dni. Wyjętą z octu naszpikować wewnątrz grubymi kawałkami słoniny, posypanej pieprzem i zasolić. Po dwóch godzinach rozpalić w rondlu prawie na rumiano łyżkę masła, włożyć pieczeń tak, aby przylegała szczelnie i nie przykrywając pokrywą, obrumienić tym sposobem na wszystkie strony cały sok mięsny. Wtedy podlać wodą lub lekkim buljonem, włożyć cebuli, suszony grzybek, pietruszki, selera i dusić, przykrywszy pokrywą na wolnym ogniu najmniej godzin 2 lub 3, odpowiednio do wielkości pieczeni. Przed wydaniem można włożyć jeden świeży pomidor, poddusić, następnie wsypać łyżkę suchego chleba tartego lub obsypać całą pieczeń mąką, aby sos był zawiesisty. Gdy pieczeń już miękka, podać na stół, przetarłszy sos przez bardzo rzadkie sito odrazu na półmisek.

KRONIKA.

Jaka będzie zima? Na pytanie to odpowiada państwowy Instytut meteorologiczny, co następuje: Meteorologja nie może obecnie określać pogody na przyszłość. Tembardziej w naszym klimacie, zmiennym i drażliwym, żadne prognozy na dłuższą metę nie mogą być niezawodne. Niema praw, na których podstawie ustalonoby zmiany zachodzące w atmosferze. Meteorologja i instytucje zajmujące się nią prowadzą na całym świecie dokładne tablice i wykresy zmian, zachodzących rok rocznie w atmosferze. Niema jednakowych dwóch lat i przeto tylko w przybliżeniu można przez podobieństwo przewidywać pogodę. Z pewną dokładnością daje się to zrobić na okres 10 do 14 dni, na dłuższą metę niema mowy o przepowiedzeniu pogody. Im bliżej równika, tem łatwiej przepowiedzieć pogodę, albowiem wahanie barometryczne jest tam mniejsze niż u nas. Nie ulega wątpliwości, że lud z pokolenia na pokolenie, w ciągu setek a może i tysięcy lat przekazuje obserwacje dotyczące pogody, łącząc obserwacje z imieniem świętego lub miesiąca, lub też datą kalendarzową. Jest rzeczą ciekawą, że niektóre obserwacje ludowe potwierdzają się w meteorologji. Tak naprzyklad wiara w to, że przymrozki na dzień św. Braci Śpiących dowodzą, że maj będzie chłodny, potwierdzają się w wykresach meteorologicznych. Pozatem wieśniacy określają przepowiednie na zasadzie obserwacji owadów, gąsienic i płazów. Nie ulega wątpliwości, że instynkt samozachowawczy przyrody kieruje temi stworzeniami, przystosowując ich rozwój do ewentualnych pogód. Z wyjaśnienia powyższego wynika, że wszelkie przepowiednie pogody na dłuższy okres czasu są zwodnicze, gdyż ani pogoda, ani temperatura zgóry przewidzieć się nie da.

Obrady sejmu. We środę dnia 31 października zebrał się sejm celem obrad nad budżetem. Na posiedzeniu tem minister skarbu wygłosił dłuższe przemówienie, w którem zaznaczył, że dochody państwa na rok 1929/30 preliminowane są w wysokości 2 miljardy 809 miljonów, zaś wydatki w wysokości 2 miljardy 802 miljony. P. minister zapowiedział uregulowania podatku majątkowego, podwyżkę podatku gruntowego, zaś obniżenie podatku obrotowego. Przemówienia ministra posłowie wysłuchali z wielką uwagą, poczem marszałek Daszyński odroczył dalsze obrady do 6 b. m.

Ruch ludności w Polsce. Cyfry, obrazujące ruch ludności w państwie, to niewątpliwie cyfry najważniejsze, bo, jak powiedział słusznie Mussolini, liczba to potęga! Dlatego też należy od czasu do czasu zbliska się tym cyfrom przyjrzeć. Ostatni zeszyt „Wiadomości statystycznych“ ogłasza dane cyfrywe, obrazujące ruch ludności w Polsce w pierwszym kwartale roku bieżącego w porównaniu z latami ubiegłemi. W pierwszym kwartale r. b. stan rzeczy był taki: Małżeństw zawarto w całej Polsce 86.824, urodzeń żywych było 246.534, zgonów zanotowano 137.520, przyrost naturalny wynosił zatem w ciągu pierwszego kwartału bieżącego roku 109.014 osób. Jest to przyrost bardzo znaczny, a można przypuszczać, że w ciągu roku da blisko pół miljona ludności przybytku.

Śmierć kłusownika. (W. B.). W tych dniach zdarzył się smutny wypadek w Radziechowach. Dnia 26 października b. r. wyszedł kłusownik Jan Jurek na zające do lasu. Szczęście mu jednak nie posłużyło, bo spotkał go gajowy, który spostrzegł u Jurka pod bluzą lufę dubeltówki. Zapytany przez gajowego, gdzie idzie, nic nie odpowiedział. Wezwany do oddania broni — odmówił, ba, nawet zaczął nabijać broń i mierzył w gajowego. Gajowy Niemczyk, widząc, że mu się święci śmierć, a po drugie spełniając obowiązek służbowy, oddał strzał do kłusownika i położył go trupem na miejscu. Po dokonaniu tego gajowy zaraz o tem zameldował w urzędzie gminnym, a przeprowadzone śledztwo policyjne wykazało, że Jurek był już kilkakrotnie karany za łapanie sarn i zajęcy a ponadto przed wojną uciekł do Ameryki przed grożącem mu więzieniem za kłósownictwo. Po powrocie z Ameryki nadal uprawiał ten proceder, aż go spotkała kara. Chłopi podobnych zasad zagrozili gajowemu, że go zamordują. Oto brak oświaty i poszanowania cudzej własności doprowadza do podobnego odgrażania się gajowemu, który spełnił swój obowiązek i użył broni we własnej obronie.

Niezwykły apetyt żydówki. Mieszkanka wsi Babice (pod Przemyślem), 19-letnia Cyla Gingoldówna, sierota, po śmierci matki swej była służącą u ciotki, która ją maltretowała. Doprowadzona do rozpaczy Gingoldówna postanowiła pozbawić się życia i w tym celu połknęła większą ilość gwoździ 9 centymetrowych oraz kilka igieł. Ponieważ śmierć nie przyszła, Gingoldówna uciekła w kierunku Warszawy, przebywając drogę pieszo lub wozami. W Warszawie zgłosiła się do szpitala żydowskiego, gdzie zaopiekował się nią Dr chirurg Michał Abramowicz. Dokonał on operacji, wydobywając z żołądka desperatki 132 gwoździe i 4 igły. Przedmioty te złożono do słoja i pozostawiono w muzeum szpitalnem. Pacjentka po operacji czuje się zupełnie dobrze i wyrzekła się zupełnie zamiarów samobójczych. O niezwykłym tym wypadku Dr Abramowicz miał odczyt w Tow. lekarsko-naukowem w Warszawie.

Włamanie do urzędu pocztowego. W ubiegłym tygodniu nieznani dotychczas sprawcy dokonali włamania do Urzędu pocztowego w Bolechowie. Złodzieje dostali się do lokalu zapomocą podrobionych kluczy i rozpruli tam kasę ogniotrwałą. W kasie pocztowej znajdowała się gotówka w kwocie 19.000 zł., którą złodzieje zabrali ze sobą. Wieść o tej śmiałej kradzieży postawiła policje na nogi. Na miejsce zbrodni udał się natychmiast szef Urzędu śledczego w Stanisławowie z wywiadowcami. W łączności z kradzieżą w Bolechowie aresztowano byłego gońca pocztowego w Bolechowie, Konika, niedawno wypuszczonego z więzienia po odbyciu kary jednego roku ciężkiego więzienia za kradzież w poczcie bolechowickiej. Na prowincji policja zaaresztowała dwóch znanych kasiarzy.

Przerażający wypadek. W Lubyczy Królewskiej wydarzył się przerażający wypadek. Oto tamtejszy kupiec, Mecheł Falek, liczący 68 lat, gasił wapno do bielenia pokoju. W pewnym momencie kipiące wapno, zamieszane przez Faleka, prysło i poparzyło mu całą twarz, wypalając zupełnie oczy, tak że pozostały jedynie dwa oczodoły. Falek w jednej chwili ociemniał. Nieszczęśliwego kupca natychmiast autem przewieziono do szpitala we Lwowie.

Duch zmarłego w starostwie. W Łodzi zdarzył się wypadek, który niezawodnie wywoła zainteresowanie w kołach spirytystycznych. W siedzibie starostwa łódzkiego stale dyżuruje w nocy policjant. Onegdaj o godzinie 12 w nocy posterunkowy Kuszcz wyszedł na kurytarz, po którego obu stronach mieszczą się biura. Nagle zauważył on jednego z wyższych urzędników starostwa, Zahorańskiego, który szedł w kierunku policjanta wolnemi krokami i nagle, gdy znalazł się w odległości paru kroków — znikł. Policjant sądził, że p. Zahorański ma nocną pracę i że teraz wszedł do jednego z gabinetów. Jednak gdy posterunkowy chciał otworzyć drzwi, przy których Zahorański znikł, okazało się, że drzwi te zamknięte są na klucz. Dyżurny nie myślał więcej o tem nocnem spotkaniu, gdy nagle o godzinie

8·30 zadzwonił telefon i posterunkowy Kuszcz odebrał telegram, że w nocy o godz. 12 urzędnik Zahorański zmarł daleko poza Łodzią, o czem żona zawiadamia starostę. Dopiero wówczas policjant zdał sobie sprawę z tego, że Zahorańskiego w rzeczywistości w biurze nie było, a tylko widział on zjawę. Rano policjant złożył na piśmie raport, podając dokładny rysopis zmarłego Zahorańskiego, którego poprzednio widział tylko dwa razy w życiu. Zdarzenie to, niewytłumaczone dotychczas, wywarło silne wrażenie wśród urzędników starostwa.

Ugotowany w parze. W hucie „Beldona" na Górnym Śląsku zdarzył się straszny wypadek. Wskutek nadmiernego ciśnienia pary eksplodował jeden ze zbiorników. Siła eksplozji była tak gwałtowna, że rozszarpany został na drobne kawałki gruby na 60 centymetrów pierścień betonowy, który otaczał ten zbiornik. Odłamki jego zraniły robotników, a gęste tumany pary zasłoniły im drogę ucieczki. Jednocześnie płomienie, które buchały z pieców, oślepiły ich. Każdy uciekał na oślep. W zamieszaniu zapomniano o robotniku Koziku, którego dopiero w kilka godzin później znaleziono skulonego w kącie z wyrazem nieopisanego przerażenia w oczach. Nieszczęśliwiec ugotował się kompletnie w parze. Dziewięciu robotników zostało poranionych odłamkami rozpadających się fundamentów zbiornika, bardzo wielu jest silnie poranionych.

Samochodem naokoło świata. W ubiegłym tygodniu wrócił do Polski po półtrzecia-letniej podróży samochodem naokoło świata harcerz polski Jerzy Jedliński, przebywszy 77.550 kilometrów. W Poznaniu powitali go przedstawiciele automobilklubu i harcerstwa. Samochód upstrzony mnóstwem napisów i etykiet w rozmaitych językach, oraz odznakami klubów automobilowych rozmaitych państw wystawiono w lokalu jednej z firm, gdzie oglądają go tłumy publiczności. Jedliński wyruszył z Warszawy 25 maja 1926 z dwoma towarzyszami i przez Włochy, Sycylję, Afrykę południową, Tunis, Marsylję, udał się do Nowego Jorku, stamtąd przez St. Francisko do Japonji, następnie przez Chiny, Indje i Marsylję do Paryża, skąd przez Berlin powrócił do Polski. Dwaj towarzysze jego, Smosarski i Łada, zmuszeni byli zaniechać podróży z powodu choroby. Jedliński przyjmowany był wszędzie bardzo serdecznie, szczególnie w Ameryce, następnie we Francji przez prezydenta Rzeczypospolitej i w Belgji przez króla Alberta. W jednych tylko Niemczech zdarzył mu się w Essen wypadek, że nacjonaliści tamtejsi zerwali chorągiewkę republikańską, która umieszczona była na samochodzie obok chorągiewki Polski.

Zamaskowany bandyta. Z Wilna donoszą: Na dom właściciela majątku Tantary pod Wilnem, p. Józefa Buniewicza, dokonano nocy ubiegłej zuchwałego napadu bandyckiego. Nad wieczorem do majątku przybył żebrak, który prosił o udzielenie noclegu. W nocy „żebrak" otworzył drzwi domu i wprowadził 8 zamaskowanych towarzyszy, którzy skrępowawszy domowników, rozpoczęli rabunek. Łupem ich padło kilkanaście tysięcy złotych oraz różne kosztowności. Bandyci zbiegli w niewiadomym kierunku. Pościg za nimi nie dał rezultatu. Rzekomy „żebrak" zostawił na miejscu sztuczną brodę i perukę, w które ubrany był dla niepoznania.

„Boskie nawiedziadło". W Michałowie na terenie powiatu zamojskiego powstał „prorok", chłopiec sierota. Dotychczas żył sobie spokojnie, służył u miejscowego kowala, nikt o nim nie wiedział. Fizycznie słabo rozwinięty, umysłowo — wystarczy powiedzieć — że nie umiał ani czytać, ani pisać. Dobry to chłopiec i niezwykle religijny. W religijności swej doszedł nawet do fanatyzmu. Słyszanemi w kościele kazaniami tak się przejął, że nawet we śnie powtarza oderwane z tych kazań zdania i urywki. Od pewnego czasu „cudowny" ten chłopiec chodzi wieczorami do pobliskiego lasu i tam stając na pniaku wygłasza swoje kazania. Na miejscu zbierają się codziennie tysiączne tłumy i z zapartym tchem wsłuchują się w słowa „chłopca-proroka". Przybywają nawet z dalekich stron koleją, samochodami, wozami. Odbywają się poprostu formalne pielgrzymki. Chłopca okrzyczano już „prorokiem" i „pielgrzymi" wpatrują się w niego, jak w coś nieziemskiego, a on, wpatrzony w błękity, głosi swoje kazania, oznajmiając ludowi, że jest „boskiem nawiedziadłem". O chłopcu tym rozchodzi się ogromna fama. Gdzie jechać, z kim się spotkać, mówi się o nim. Na kolei, w autobusach, w towarzystwie, przy pracy — wszędzie mówi się o „cudownym chłopcu" z Michałowa. W Michałowie samym panuje ogromny ruch. Autobusy w tym kierunku dzień w dzień przepełnione. Różnego rodzaju sklepiki mnożą się na miejscu jak grzyby po deszczu. Ma się wrażenie, że odbywa się tu jakiś nadzwyczajny odpust. Na miejsce zjechała również cała kompanja opryszków i złodziei, którzy sytuację wykorzystują dla swoich celów. Wszystkiemu sprzyja fakt, że ludność okoliczna jest niezmiernie łatwowierna i mało uświadomiona. Zjawisko to wziąć może łatwo bardzo niepożądany obrót. Należy się spodziewać, że władze tak duchowne, jak i świeckie położą kres temu „nawiedziadłu".

Niezwykłe bliźniaki. O niebywałym wypadku donoszą z Orawy. Mianowicie mieszkanka wsi Piekielnik na Orawie, po udaniu się na swoje pole, celem wykopania ziemniaków, powiła nagle w polu dziecko płci męskiej. Dziecko zawinęła w chustkę i zaniosła do domu, jakkolwiek pole jej znajdowało się o jakieś trzy kilometry od jej mieszkania. Po przybyciu do domu chora położyła się do łóżka, a wkrótce potem powiła drugie dziecko, również chłopca.

Strzelanina wśród cyganów. Ubiegłej nocy mieszkańcy jednego z przedmieść Belgradu zostali zaalarmowani szeregiem strzałów rewolwerowych, dochodzących z sąsiednich pól, na których od kilku dni koczowali cyganie. Ogółem oddano przeszło 200 strzałów. Jak się okazało, przyczyną strzałów była bójka w obozie cyganów na tle podziału pieniędzy. Zaciekła ta bójka trwała około półtorej godziny.



Pole walki wyglądało jak pobojowisko. Jeden cygan został zabity, 14 przeważnie ciężko rannych. Zabity cygan był formalnie naszpikowany kulami rewolwerowemi. rannych cyganów odstawiono do szpitala więziennego, trzech unieśli towarzysze. Przybyła żandarmerja aresztowała część uczestników walki, reszta rozbiegła się w ciemnościach.

Powódź w Tyrolu i Wenecji. Wylewy w południowym Tyrolu przybierają katastrofalne rozmiary.

Również rzeki i strumienie w prowincji toskańskiej groźnie wezbrały. Rzeka Adyga przybrała o 4 metry ponad poziom normalny i zalała most kolejowy pod Weroną. Liczne mosty zostały zerwane. Miasteczko Cambana zostało odcięte od świata. Linja kolejowa w Dolomitach pod Agordo została uszkodzona, tak, że komunikacja jest utrzymywana przez autobusy. Piawa wciąż wzbiera. Władze wydały zarządzenie ewakuowania zagrożonych miejscowości. Linja kolejowa Piza-Rzym z powodu podmulenia toru jest przerwana. Wenecja została częściowo zalana. W ubiegłą niedzielę przed południem plac św. Marka stał pod wodą.

Porwany przez narzeczoną. Ciekawy wypadek porwania miał miejsce pod Neapolem w tych dniach. Od pewnego czasu młoda pielęgniarka, Antonina Sorvillo, zakochała się w młodym człowieku, Alfredzie Mirini. Mirini był kaleką od urodzenia i sparaliżowane miał obie nogi, ale mimo to młoda dziewczyna postanowiła go poślubić. Napróżno matka tłumaczyła jej, że małżeństwo to zgoła jest nieodpowiednie; młodzi zaręczyli się pokryjomu w ubiegłym tygodniu i wcele — jak się okazało — nie mieli zamiaru na tem poprzestawać. Pragnąc za wszelką cenę pokonać upór matki, Sorvillo powzięła bardzo śmiały plan. Nocą trafiła ona do sypialni swego narzeczonego, uprowadziła go z domu i wyniosła pod niewiadomym adresem. Dotąd nie udało się odkryć, gdzie się oboje znajdują. Najkomiczniejszem w tem wszystkiem jest fakt, iż matka śmiałej dziewczyny — zauważywszy jej nieobecność — o porwanie córki oskarżyła młodego paralityka...

Kochanka w spodniach. W Neapolu wielką sensację wywołał obecnie fakt wyjścia na jaw wiarołomności pewnego dobrze tam znanego bogatego dyrektora cementowni. Przed blisko 25 laty poznał on młodą dziewczynę, która się w nim zakochała. Aby uśpić czujność swej zazdrosnej żony, dyrektor polecił kochance przebrać się w szaty męskie, by w ten sposób móc chodzić do jego biura bez zwracania podejrzenia. Pomysł był dobry, młody „sekretarz“ przez blisko ćwierć wieku wiernie „pomagał w pracy“ swemu pryncypałowi. Dziewczyna tak przyzwyczaiła się do swych szat i przebywania na stopie koleżeńskiej w towarzystwie mężczyzn, że z czasem zupełnie zaprzestała nosić suknie damskie, Nawet w domu nie posiadała żadnej sukienki, a tylko stroje męskie. Dopiero przed niedawnym czasem policja otrzymała doniesienie, iż pod nazwiskiem Alfonsa Onesti, sekretarza w fabryce cementu, kryje się panna nazwiskiem Convetta Daneo. „Sekretarz sprowadzony“ do komisarjatu początkowo utrzymywał, że jest mężczyzną, ale przeprowadzona rewizja wykazała wręcz co innego. Po stwierdzeniu tożsamości, pannę Convettę wypuszczono na wolność, gdyż niema przepisu prawnego, zabraniającego kobietom nosić ubranie męskie. Najgorzej na tem wyszedł dyrekter cementowni, który stracił wiernego sekretarza i musi teraz znosić piekło w domu, czynione mu przez małżonkę. Oczywiście na „fundusz“ dyrektora, jego żony i kochanki bawi się obecnie całe miasto.

Niesamowita zbrodnia. Berliński sąd karny skazał na cztery lata więzienia niejakiego Karola Kurascha za zabójstwo pasierbicy 14 letniej Eryki. Żródłem nieporozumienia, które doprowadziło do krwawego czynu, był fakt następujący: Kurasch ogłosił między rówieśnikami pasierbicy konkurs za najpiękniejąze uczesanie, przyczem palmę pierwszeństwa przyznał Eryce, ale wyznaczonej nagrody 50 fenigów nie wypłacił. Kiedy „laureatka konkursu“ chcąc iść do kina, domagała się wypłaty, Kurasch chwycił widelec i potężnym ciosem wbił go w głowę Eryki, przebijając czaszkę. Eryka po paru dniach zmarła. Jak wykryło śledztwo, Kurasch utrzymywał z nią bliższe stosunki. Wkrótce po aresztowaniu Kurascha zgłosił się do władz policyjnych brat jego i zameldował, iż morderca dopuścił się jeszcze jednej zbrodni, mianowicie zadusił własną żonę, Ellę. Jakoż w mieszkaniu Kurascha znaleziono ciało jego żony. Ofiara zbrodni leżała w łóżku z bukietem, wetkniętym w skostniałą dłoń. Zapytany, co się dzieje z jego żoną, Kurasch oświadczył, że uległa ona wypadkowi samochodowemu i pogotowie ratunkowe zabrało ranną. Przywieziony na miejsca zbrodni Kurasch przyznał się do krwawego czynu, który będzie przedmiotem nowego procesu.

Oszalała kasjerka. W kasie kolejki podziemnej w Paryżu rozegrała się onegdaj niezwykła scena. Kasjerka tej kasy stała w okienku i wołała głośno:

— Wyprzedaż! Korzystajcie ze sposobności!

I rozdawała przechodniom i podróżnym bilety pierwszej i drugiej klasy. Zdumieni podróżni brali bilety, za które kasjerka nie chciała przyjąć pieniędzy. Zawezwano policję i naczelnika stacji. Okazało się, że kasjerka rozdawała bilety w przystępie choroby umysłowej. Odwieziono ją do szpitala.

Noc wśród węźów. Pewien Anglik opowiada w jednej z gazet londyńskich o przerażającym wypadku, jaki zdarzył mu się ubiegłego roku w Afryce, gdy polował tam na dzikie zwierzęta. Wraz z kilku murzynami, którzy mu służyli, znalazł się on na noc w dzikiej okolicy. Rozbili więc namiot, rozłożyli przenośne łóżko dla angielskiego podróżnika i zaświecili światło w namiocie, aby odstraszyć dzikie zwierzęta, a zwłaszcza jadowite węże, których dużo było w tych miejscach. Trzej murzyni służący mieli czuwać, zmieniając się kolejno, aby podróżnik choć parę godzin mógł spokojnie przespać. Niestety wszyscy wnet posnęli i świasło zgasło. Podczas tego zakradł się do namiotu i na łóżka Anglika się wczołgał wielki wąż. Anglik, śpiący czujnie, poczuwszy zimne dotknięcie, zerwał się z krzykiem, murzyni również się ocknęli, zapalili światło, a widząc co się stało, jeden, nie tracąc przytomności, w okamgnieniu cisnął na węża młodego lamparta, którego ze sobą wozili. Lampart jest zwierzęciem drapieżnem, podobnie jak tygrys, różni się tylko tem od niego, że jest mniejszy i ma centki po sobie, a nie pręgi, ukąszenie jadowitego węża nie szkodzi mu.



Wśród pisku, miałku i charczenia lamparta, oraz zaciekłego syczenia węża, trwała walka zwierząt dłuższą chwilę, podczas czego ludzie mogli się cofnąć i nie obawiając się węża, zmaganiu się z nim drapieżnika przyglądać. Zażarty pojedynek lamparta z jadowitym gadem skończył się zagryzieniem go przez lamparta, który wyszedł z walki srodze pogryziony, lecz uratował życie ludzi, a wkrótce z ran się wylizał. Opowiadanie swoje kończy Anglik, że żadne z przebytych niebezpieczeństw nie zostawiło mu po sobie tak grozą przejmującego wspomnienia, jak ta noc, spędzona wśród wężów.

RZECZY CIEKAWE.

Dziesięciolecie Czechosłowacji.

W dniu 28 października b. r. obchodziła Czechosłowacja dziesięciolecie swego istnienia. Nie od rzeczy więc będzie z okazji tej przytoczyć kilka danych, dotyczących Czechosłowacji i Czech, które stanowią większość obecnej republiki.

Czechosłowacja jest krajem obejmującym 142 tysięcy klm.² i zamieszkałym przez 13 milj. mieszkańców. Jest ona w dzisiejszych swych granicach wytworem historji, która w zmiennych kolejach losu na obszarze tym działała od 6 wieku po Chrystusie, aż po traktat wersalski. Kolebka dzisiejszej republiki czechosłowackiej, zamieszkana pierwotnie przez celtyckich Bojów, wzięta była w posiadanie przez słowiańskich Czechów w 6 wieku. Zrazu kraj ulegał zwierzchnictwu postronnemu; należał do państwa Samona, do Karola Wielkiego, do państwa Wielkomorawskiego, potem jednak przeszedł pod władzę cesarzy rzymsko-niemieckich, jako osobna jednostka, której władcy, zrazu książęta, później królowie, byli elektorami cesarstwa niemieckiego, aż do r. 1306. Ten stosunek zewnętrzo-prawny nie przeszkadzał rozwojowi wewnętrznemu. Po dynastji Przemyślidów, która wygasła w r. 1306, przyszła do władzy dynastja luksemburska. Od r.1437 dwaj Habsburgowie i Jerzy z Podiebradu poprzedzili panowanie dwóch Jagiellonów, po których w r. 1526 Czechy prawem układu dynastycznego z Jagiellonami polskimi przeszły pod panowanie Habsburgów. Trwało ono aż do 28 października 1918 r.

Okres rozwoju i świetności żywiołu czeskiego trwał przez ciąg panowania Przemyślidów i Luksemburgów, i potem jeszcze przez resztę wieku 15 i w w. 16-tym. Na ten czas przypadają wojny husyckie, które imię czeskie miały po wsze czasy rozsławić.

Wybuch wojny 30-letniej wywołany w Pradze 1618 r. stanowi zwrot w dziejach czeskich.

Po bitwie pod Białą Górą (1626) zwycięski król Czech nad Czechami, cesarz niemiecki Ferdynand, podjął odwet na plemieniu czeskiem.

Konfiskata dóbr opornej szlachty czeskiej na rzecz rodów niemieckich, zapoczątkowała ruinę kraju i germanizację jej ludności, która trwała dwa wieki.

Dopiero napoleońska idea narodowa dotarłszy do wyobraźni ludu czeskiego, roznieciła w nim siły twórcze.

Czechy od r. 1806 prowincja cesarstwa austrjackiego — podjęły zwłaszcza po r. 1846 uporczywą walkę o swoje prawa narodowe i państwowe.

Walka ta wycisnęła swe piętno na biegu polityki wewnętrznej Austrji przedwojennej i skończyła się dopiero z upadkiem monarchji austro-węgierskiej i dynastji habsburskiej przed 10 laty.

Dziś Czechy są na zasadzie traktatu wersalskiego, łącznie ze Słowacją, republiką o pełnej suwerenności państwowej.

Dlaczego liście zmieniają swoją barwę?

Znanem jest, że liście roślin pod jesień zmieniają barwę zieloną na czerwoną lub żółtą. Zjawisko to polega na tem, że barwik zielony liści ulega zanikowi, a pozostają jedynie składowe części żółte i czerwone. jednak nie każdy wypadek czerwienienia liści da się przy pomocy powyższego procesu wyjaśnić.

Zmiany barwy liści z zielonej na czerwoną występują także przy dłuższem działaniu suszy lub ostrem oświetleniu i wtedy powód czerwienienia się ich leży gdzieindziej. Jak badania wykazały, tworzy się wówczas nowe ciało, czerwony barwik, którego w liściu zielonym nie było.

Zdołano go wykazać dotychczas w szeregu roślin, jak np. skrzypów, cisu, jałowca, aloesu, rdestnic. Pojawia się on szczególnie przy działaniu niskich temperatur, suszy, silnego oświetlenia, wskutek uszkodzenia rośliny.

Jakie jest jego znaczenie dla rośliny, dotąd nie ustalono.

Kiedy zabraknie miejsca na ziemi?

Kwestja grożącego przeludnienia na kuli ziemskiej jest szeroko dyskutowana w ostatnich czasach wśród laików, a nawet wśród uczonych. Angielski antropolog A. Ross w dziele „Miejsce tylko do stania?“ przeprowadza badania nad liczbą ludności ziemi od 60 lat. Według niego liczba mieszkańców naszej planety wynosiła od 1870 do 1890 roku 1.450 miljonów, w ciągu zaś lat 1890—1900 1.500 miljonów, w roku 1924 znajdowało się na świecie 1.900 miljonów ludzi.

Według obliczeń australijskiego statystyka George Knibbs'a codzinnie umiera 100 tysięcy ludzi, a rodzi się 150 tysięcy. Po upływie więc tysiąca lat, każdy człowiek miałby do rozporządzenia tylko jeden metr kwadratowy, z którego musiałby się wyżywić. Obecnie, zdaniem Ross'a, typowym przykładem tej przyszłej epoki są Chiny, gdzie na jednego mieszkańca przypada 2 metry kwadratowe ziemi i gdzie epidemje i klęski głodowe uważa się za dobrodziejstwo. Podobne stosunki panują w Indjach, na Jawie i w Portoriko. Ludności przybywa w zatrważający sposób, zwłaszcza w Chinach, mimo nadzwyczajnej śmiertelności wśród dzieci, z których 87 proc. umiera w pierwszym roku życia, 9.10 proc. zaś nie osiąga drugiego roku.

Cóż będzie więc w przyszłości? Zdaniem Ross'a, ziemia może wyżywić przy obecnym stanie rolnictwa i przemysłu 5 miljardów ludzi, przy wzmożonej zaś wydajności uprawy roli mogłoby egzystować 7 miljardów ludzi na ziemi. Stosując zaś nadzwyczajne środki i ograniczenie potrzeb, 11 miljardów ludzi z trudem mogłoby wieść nędzny żywot na całej kuli ziemskiej. Zupełnie jednak poważnie należy liczyć się z możliwemi katastrofami i dziejowemi kataklizmami, które w ostatnich zwłaszcza czasach zbierają obfite żniwo wśród mieszkańców ziemi.

Olbrzymi hotel amerykański.

Niedawno ukończone zostały w Chicago roboty około budowy największego hotelu amerykańskiego. Hotel ten ma 25 pięter i 3.000 pokoi. Sala jadalna urządzona jest na 4.000 osób. Do dyspozycji gości hotelowych stoi 14 wind, 10 wind przeznaczonych jest wyłącznie dle personelu, a 4 — służą do przewożenia pakunków. Budowa i urządzenie hotelu tego kosztowało 26,000.000 dolarów.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Franciszek J. Tryszczyła** w K.: Artykuliki z „Działu wiedzy popularnej“ bardzo dobre i tych prosimy jak najwięcej. Natomiast obrazki z wojny światowej mniej są pożądane, gdyż nie chcemy smutnej przeszłości zbyt często przypominać. — **Wł. Sowiźrał** w J.: Opis klasztoru Wizytek w Jaśle nie zaiteresowałby szerszego ogółu czytelników, którzy owego klasztoru nie znają, a ci, co go znają, mają dzieje jego w świeżej pamięci, gdyż nie są one tak dawne. — **Emilja Michalska** w P.: Jak na wychowankę szkoły niemieckiej, posiada Pani i styl i pismo bardzo dobre. Celem dalszego kształcenia się w języku polskim polecamy gramatykę Majewiczówny i pisownię Łosia; dostanie w każdej księgarni. Wierszyk, z wyjątkiem zwrotki trzeciej, zupełnie poprawny. Ostatnia zwrotka po przesta-

wieniu tylko jednego słowa będzie zupełnie dobra. A oto dowód: Napisała Pani: „Mgła opada, mgła opada, sina, dżdżysta, nieprzejrzysta... Sen cichy ziemią zawłada. Idzie zima uroczysta!" W czytaniu trzeci wiersz brzmi jakoś niewyraźnie, ale gdy tylko przestawimy jedno słowo i napiszemy: „Mgła opada, mgła opada, sina, dżdżysta, nieprzejrzysta... Cichy ziemią sen zawłada: Idzie zima uroczysta!" — wówczas cała zwrotka nabiera melodyjności i wiersz staje się zupełnie poprawny. Drobiazg to, ale właśnie na takie drobiazgi trzeba bardzo uważać. Prosimy o dalsze próbki, a nie wątpimy, że niejedna z nich znajdzie się na łamach „Roli". — **Ludwik St. Unsing** w B.: Prosiłem o informacje tylko dla własnej wiadomości. Rzecz dobra, ale czy rysownik potrafi wyszukać odpowiednie momenty do ilustracji, wątpię. Jeżeli nie, to i tak pójdzie bez ilustracji. „Dzwonnika" proszę przysłać, a zobaczę, gdyż go nie znam. — **Wł. Janczarek** w W.: Nadesłane zagadki wydrukujemy. Na prenumeratę do końca bieżącego roku brak 2 złote. — **Józef Trasik** w K.: Wiersz „Dziesięciolecie Polski Odrodzonej" posiada myśl piękną, ale jest on nie wykończony, natomiast „Czar nocy" zupełnie poprawny. — **Władysław Bienias** w R.: „Dzień Zaduszny" się spóźnił, natomiast „Zabobony" umieścimy, gdyż są ciekawe. Podania o świętach Bożego Narodzenia prosimy nadesłać. — **Kachna Ł. Łza** w W.: Za nadesłane fotografje rączki całujemy (tak po śp. galicyjsku). Panią wyobrażaliśmy sobie niemal taką, jaka jest na fotografji, może tylko nie tak zbyt poważną, natomiast p. Donata widzieliśmy w naszej wyobraźni, jako męża w późniejszych latach życia, a tu tymczasem młodzieniec. Bagatela! Jeszcze raz dziękujemy. — **Stefan Adamik** w Ż.: Pismem powieściowem, choć nie w ścisłem tego słowa znaczeniu, jest „Tygodnik ilustrowany" w Warszawie. Jest to pismo wytworne, ale drogie. Hodowlą ptaków zajmuje się p. Jan Szufa w Grudziądzu. Bliższego adresu nie znamy, ale przypuszczamy, że i taki wystarczy. Prenumerata zapłacona na cały rok 1929. — **Franciszek Macioł** w Sk. B.: Zagadki dobre, pójdą kolejno. Maciuś pannie Rózi za przesyłkę serdecznie dziękuje i zgóry cieszy się obietnicą dalszej. O bo on panienki bardzo kocha, szczególniej te, które o nim pamiętają. Biedny on sierota, nie posiadający ani jednej żony! Autora wspomnianej powieści nie znamy. Wiemy tylko tyle, że została ona wydana w Chicago w Ameryce przed kilkudziesięciu laty bezimiennie. Na ostatnią kartkę daliśmy odpowiedź, przesyłając zaraz żądane zaległe numera „Roli" wraz z czekiem. — **Bazyli Haponiuk** w D.: Tysiące ludzi zostało w tensam sposób poszkodowanych, jak Pan, i nikt nie potrafi za to wydobyć znikąd odszkodowania. Nawet takie mocarstwa, jak Stany Zjednoczone, Anglja, Francja nie potrafią nic od bolszewików wydobyć, a cóż dopiero mówić o pojedynczym człowieku. — **Henryk Biłka-Głębicki** w S.: Zagadki dobre i pójdą w miarę miejsca. Listownie odpowiadamy tylko w bardzo ważnych sprawach, na drobiazgi nie mamy czasu. Łączymy pozdrowienia i prosimy o dalszą pamięć. — **Julja Ważna** z G.: Na prenumeratę do końca b. r. brak 3 zł. 40 gr. Za pozdrowienia dziękujemy i wzajemnie pozdrawiamy. — **Stanisław Jamiołkowski** w Bruszewie: Urząd pocztowy Sokoły odpowiedział, że nigdy od Pana nie żądał opłaty 10 groszy za przesyłkę „Roli" od numeru i nie doręczył też Panu samej opaski bez numeru. Nadchodzące egzemplarze „Roli" kieruje do gminy Sokoły i ktoś z urzędu gminnego Sokoły lub Bruszewo dopuścił się na Panu wyłudzenia opłaty pocztowej, pod pretekstem, że na numerach wydawanych podczas wakacyj bez okładki nie było napisu: „Należytość poczt. opłacona ryczałtem". Zatem niech nam Pan doniesie, czy to był posłaniec z Bruszewa, czy z gminy Sokoły, a wniesiemy skargę do Starostwa w Tomaszowie Mazowieckim. — **Józef Sobczak** z Z.: Żądaną książkę znaleźliśmy tylko jedną jeszcze w Księgarni Krzyżanowskiego, Kraków Rynek, ale jest droga, kosztuje 7 zł. i niech się Pan do tej księgarni odniesie. — **Br. January Wilk** w D.: Serdecznie dziękujemy. Zaległe numera do Ameryki posłaliśmy. Wkrótce odpowiemy listownie obszerniej.

Zagadki do nagrody.

1. Arytmogryf.

(Ułożył St- Kamyk z K.).

1	2	**3**	4	5	Miasto polskie.
6	7	**8**	9	2	Część wiatraka.
10	21	**11**	12	2	Odpadek.
1	4	**14**	13	2	Pług.
15	16	**13**	2	17	Zwierzę.
15	4	**18**	11	5	Posąg.
1	19	**20**	10	2	Uczta.
12	4	**17**	3	2	Mord masowy.
10	21	**11**	14	20	Część ciała.
10	2	**3**	3	2	Także kobieta.
18	3	**8**	12	4	Zbiór.
5	22	**11**	23	2	Minerał.
24	2	**10**	2	25	Uniesienie.
6	22	**4**	23	2	Dzień.
22	4	**23**	2	5	Brat.
12	8	**21**	3	4	Miasto polskie.
24	2	**11**	21	11	Roślina.
24	2	**9**	4	3	Niwa
10	2	**25**	5	2	Kij.
23	22	**2**	12	2	Rzeka.
5	4	**10**	5	2	Siano.
12	22	**4**	3	2	Ptak.
5	2	**21**	5	2	Służy do odbijania.
5	4	**1**	24	11	Naczynia.
24	2	**5**	4	3	Stowarzyszenie.
15	21	**2**	9	2	Kłamstwo.

Środkowe litery czytane z góry na dół dadzą okrzyk na 11 listopada i na codzień.

2. Szarady.

(Ułożyła Ela Irecka z G.).

I.

Pierwsze produktem jest mleka
I pożywny jest dla człeka.
Drugie literę oznacza.
Całość łatwo dla badacza
Odszukać w każdym człowieku
W młodym czy podeszłym wieku.

II.

Pierwsze liczbę nam powiada,
Gdy brzydkie drugie i trzecie
Płci pięknej, to tylko wzgarda
Jej — jak dobrze wszyscy wiecie
Czeka tu, w całości za to
Mało uważają na to.

III.

Pierwsze zwierzę jest południa
a litera wtóre,
Całości promień przebije
nawet ciemną chmurę.

IV.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

Przyjeżdżam na dworzec, okropny ruch [wszędzie,
Więc mówię; „wiesz Andziu, wstecz pierw-[szych tu będzie".
A że było w nocy a ja miasta nie znam
Wpadam gdzie w sam pierwszy, o to wca-[le nie dbam.
Kupić drugie, trzecie, wpadam do trafiki,
Spoglądam na ściany, wiszą okólniki,
Że jutro ogromna jest całość w Krakowie,
Mało mam pieniędzy, drapię się po głowie.

3. Przestawianki.

(Ułożył Alfons Czader z S. W.).

I.

Synek leci po ser i wodę krowie.

II.

Janek ogląda but i miłe jajka.

III.

W Tyrolu siecze żona nocą dzieci.

IV.

Chłop Staszek krzyczy w kozie na owe sądy.

V.

Więc Kaziek ściera owoce z sadz?

Z powyższych zdań ułożyć przysłowie.

Za rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 17 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 44 „Roli": 1. Logogryf: Książę Józef Poniatowski. 2. Szarady: I. Karabin. II. Zapusty. III. Napoleon. 3. Kwadrat magiczny: Tokaj, Omega, Tadek, Agata, Rataj. 4. Łamigłówka literowa: „Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada".

Dobrego rozwiązania w oznaczonym czasie wszystkich zagadek nikt nie nadesłał.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara
W drukarni »Czasu« w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Cięty jąkała.

W przedziale II klasy siedzi jąkała i pan jakiś pilnie czytający gazetę. Jąkała, znudzony nawiązuje z nieznajomym rozmowę.

Jąkała: Prz... prz... przepraszam pppana, czy wolno zzzapytać dddokąd ppan jedzie?

Pan: Do Warszawy.

Jąkała: Ttto świetnie! jaja tttеż tam jadę. A... a... a... poc... poco pan jedzie?

Pan: Żenię się.

Jąkała: Co... co... cudownie; aaa z kim, jeśli wowowolno się za... zapytać, d... d... dobrodziej się żeni?

Pan zniecierpliwiony: Z osłem!

Jąkała: Ttto cie... ciekawe; czy ma pan wobec ttego pozwolenie pppa... papieskie?

Pan zdziwiony: A to poco?

Jąkała: A bo bo widzi pan, j... jajak osioł z osłem sssię żeni, to to bbb... b... bardzo bliskie p... p... pokrewieństwo.

Zakończenie listu.

— Kochana mamo, wybacz, że ci taki długi list napisałem, bo krótszego nie miałem czasu napisać.

Jak to nazwać?

Profesor na wyższym kursie seminarjalnym w czasie wykładu: Przypuśćmy, że zaczynam w tym miejscu ziemi wiercić dziurę i przedzieram się przez środek ziemi. Dokądbym w ten sposób zaszedł?

Jeden z uczniów: Do domu warjatów, panie profesorze!



Krakowiak.

Wiadomość z Kijowa
Przynoszą jaskółki,
Że tam za receptą,
Dają chleb i bułki.
Jeśli bolszewikom
Nikt tam łba nie zetrze,
Będą za receptą
Dawać i powietrze.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 2 listopada b. r.

Pszenica .	48·00—49·00	Słoma długa	12·00—13·00
Żyto .	35·00—36·00	Ziemniaki stoł.	8·00— 8·50
Owies . .	35·00—36·00	Koniczyna na-	
Jęczmień .	35·00—36·00	sienn. czer.	000·00—000·00
Fasola biała	00·00—00·00	Mąka żytnia	50·50—51·00
Groch zwyk.	60·00 - 65·00	Mąka pszen.	79·00—80·00
Siano słodk.	27·00—28·00	Otręby pszen.	28·00—29·00
Koniczpastew.	34·00—36·00	Mąka czerw.	33·00—34·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 2 listopada b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·00 do 1·60 zł.	Jałownik	od 0·72 do 1·60 zł.
Woły . .	od 1·00 do 1·62 zł.	Cielęta .	od 1·50 do 2·43 zł.
Krowy	od 0·80 do 1·45 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·15 do 2·57 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·25 do 3.15